№ 33. Warszawa, dnia 18 (6) Sierpnia 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Naiwne żale. — Tydzień polityczny. — Uspokojona p. Cecylię Walewską. — *Sprawy ekonomiczne*: Zjazd gorzelników w Warszawie. — *Życie społeczne*: Listy z nad Bałtyku II. p. A. Rosseta. — *Badania naukowe*: Rozwój rodziny IV. p. Ludwika Krzywickiego. — Morfinomania p. d-ra Berskiego. — *Literatura i sztuka*: Sekta estetyczna II. p. Cezarego Jellentę. — *Poezya*: Jarosław Vrchlicky. Perspektywy II. Przeł. Marya Konopnicka. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

NAIWNE ŻALE.

Prawit. Wiestnik, rzadko i zwykle tylko w artykułach urzędowych uwzględniający głosy dzienników galicyjskich i poznańskich, zamieścił wyjątkowo notatkę, poświęconą tej prasie i jej stosunkowi do arc. Dindera. Krakowska *Reforma* ogłosiła, że między tym dostojnikiem Kościoła a nuncyuszem papieskim w Wiedniu toczyły się układy w sprawie podróży ces. Wilhelma do Rzymu. Główny organ katolików niemieckich, *Germania* zaprzeczyła temu doniesieniu; klerykalna zaś *Volkszeitung* oskarża pisma polskie o spotwarzanie arcybiskupa za to, że w nim widzą wroga swej narodowości, który ją systematycznie trzebi na całym obszarze zaboru pruskiego. Według prasy krakowskiej, Dinder i Redner wypierają zewsząd żywioł polski. Tak np. w seminaryum pelplińskiem wszyscy profesorowie polscy, z wyjątkiem jednego, zastąpieni zostali przez niemieckich. W wioskach polskich arcybiskup rozdaje probostwa wyłącznie księżom niemieckim; we wsiach zaś niemieckich osadza duchownych polskich. W Gdańsku, gdzie przebywa kilkanaście tysięcy mieszczan polaków, biskup zabronił klerowi kościoła parafialnego św. Józefa miewać kazań w języku polskim, biskup zaś Till oznajmił kiedyś publicznie, że zadaniem zwierzchników dyecezyj poznańskich jest podtrzymywanie wszelkiemi siłami rządu pruskiego w jego zabiegach germanizacyjnych. Nadto nie chciał on przyjąć deputacyi, wysłanej do niego z prośbą, aby do wszystkich parafij z ludnością wyłącznie polską posyłano księży polskich. Tem to właśnie tępieniem narodowości polskiej w prowincyach polskich objaśnić należy fakt, że — jak mówi paryski *Temps* — od 4 sierpnia płyną ciągle protesty dzienników krakowskich i oskarżenia przeciwko arcybiskupowi Dinderowi i innym duchownym w dyecezyach polskich.

Tyle *Prawit. Wiestnik*.

Potwierdzenie objawów tu przedstawionych spotykamy na innej drodze. Na jedną z kanonij w Gnicznie ma być powołany ks. Fröhlich z Kamienia (Szląsk Górny). Według *Schl. Ztng*, jest to „kapłan, który zawsze po niemiecku myślał," który „z całego duchowieństwa szląskiego miał odwagę oświadczyć się przy ostatnich wyborach za siedmioleciem" (projektem ks. Bismarka). „Gdyby wiadomość o jego mianowaniu sprawdziła się — dodaje wspomniany dziennik — byłaby ona zarazem potwierdzeniem innej, że niemcy, mówiący po polsku, są bardzo pożądani w Księstwie dla paraliżowania wpływów duchowieństwa polskiego."

Leon XIII jest kosmopolitą, jego pełnomocnik na arcybiskupstwie poznańskiem ks. Dinder — niemcem, elementarna tedy logika wskazuje, że ani jeden, ani drugi nie mogli być opiekunami narodowości i dążeń polskich. Wniosek ten w swoim czasie wyprowadziliśmy na przekór dziecinnym złudzeniom wielu pism warszawskich, galicyjskich i poznańskich, które uparcie pod sutanną arcybiskupią nie widziały niemca, lecz polskiego Walenroda. Rzeczywistość uzasadniała i uzasadnia ciągle słuszność naszego wywodu, a czyni to tak dobitnie, że już nawet ślepym otworzyła oczy. Jeżeli zaś wyciągnięta z niej nauka każe obciążyć kogoś winą, to chyba tylko tych, którzy nie chcieli widzieć prawdy taką, jaką ona była i jest. Daleko trudniej żądać od Leona XIII lub Dindera, ażeby byli patryotami polskimi, niż wymagać od polityków polskich rozsądku i trzeźwego oceniania rzeczy. Zarówno papież, jak arcybiskup Dinder mogą najzupełniej usprawiedliwić swe postępowanie prostą uwagą:

Czego wy, panowie polacy, od nas chcecie? Nie pochodzimy z waszego gniazda, wasze interesy narodowe nic nas nie obchodzą, jesteśmy kierownikami Kościoła katolickiego, a nie polskiego, skąd więc czerpiecie dziwną do nas pretensyę, ażebyśmy wam służyli?

Nadto arcyb. Dinder mógłby dodać: Jeżeli mam jaką skórę polityczną, to tylko niemiecką, bom z rodu niemiec. Dogadzając wam, musiałbym zdradzać mój rząd i sprzeniewierzyć się mojej ojczyźnie. Takie wymaganie z waszej strony jest śmiesznem a nawet krzywdzącem. Robię to, co wy: służę mojemu narodowi, a że skuteczniej od was, to moje szczęście.

Rozumowania takiego niepodobna podważyć niczem.

To też przytoczone wyżej fakty nie pobudzają nas wcale do nagan dla biskupów niemieckich w Poznańskiem, postępujących zgodnie ze swem pochodzeniem, zasadami i stanowiskiem, ale co najwyżej przejmują wątpieniem o możliwości uleczenia naiwnych polityków naszych ze złudzeń i snów hypnotycznych, w jakie ich wprawia wszelka sutanna. Gdziekolwiek ją ujrzą, zaraz zdaje im się, że ona służy za zwierzchnie okrycie dla kontusza. I teraz żalą się na niemca, że obsadza probostwa i kanonie — niemcami. To ich dziwi, oburza, a nie dziwi i nie oburza, że jesiotr przenosi jesiotra nad łososia, a bóbr — bobra nad zająca. Zapytamy się tylko: gdyby objęli biskupstwa w Wesfalii i Hanowerze a mieli prawo i możność obsadzania tamtejszych probostw księżmi katolickimi lub niemieckimi, których by też wybierali? Dinder, Redner, Fröhlich, Till — to nie Dinderowski, Rednorowski, Frölichowicz i Tillewicz — to Dinder, Redner, Fröhlich i Till.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ze słynnej trójcy, która rozbiła dwa wielkie państwa i rozpostarła swą grozę po całej Europie, został już tylko jeden — ks. Bismark. Wilhelm I wstąpił do grobu a przed kilku dniami hr. Moltke opuścił stanowisko naczelnika sztabu głównego. Z pewnością nie odsunięto go i odszedł sam, uczuwszy, że w 88 r. życia za ciężko już dźwigać tak wielki urząd i tak wielką odpowiedzialność. Zbyt on wymowne złożył dowody geniuszu żołnierskiego; zbyt silną w narodzie i rządzie posiadał wiarę, ażeby go wyparto jakąś intrygą i zbyt zaś był surowym i trzeźwym nawet względem siebie, ażeby nie uznał sam, że koniec jego działalności nadszedł. Człowiek, który przez tyle lat umiał ściśle ważyć i badać wszystko, musiał w końcu zastosować tę sumienną miarę do sił własnych. Jednego dnia powiedział sobie: jestem już za stary, nie mogę być tem, czem byłem — powinienem złożyć buławę w ręce młodsze. I jako następcę swego wskazał hr. Waldersee.

Moltke pochodzi ze starożytnej rodziny meklemburskiej, a jest synem oficera armii duńskiej. W niej również od 18 r. życia rozpoczął swą służbę, ale wkrótce przeszedł do wojska pruskiego. Jako kapitan odbył (wraz z sułtanem) podróż po Turcyi. Wróciwszy do Berlina, przechodził wolno stopnie oficerskie; od r. 1859 dopiero został naczelnikiem sztabu głównego. Wojny: duńska, austryacka i francuska są jego dziełem, nieraz mistrzowsko pomyślanem i wykonanem. Stanowisko to opuścił obecnie z tytułem „prezesa komitetu obrony kraju.“ Jest to naturalnie urząd czysto idealny, bo „prezesem komitetu obrony kraju“ w Niemczech będzie zawsze tylko—naczelnik sztabu głównego.

A co zacz hr. Waldersee? Dotąd był generalnym kwatermistrzem a jest podobno człowiekiem bardzo zdolnym i energicznym. Sfery wojskowe uważają go widocznie za zdolność pierwszorzędną, skoro otrzymał najwyższą w nich godność.

Dawno już rubel nie słyszał z Berlina tak wysokiego o sobie mniemania, jak obecnie (202). Kurs ten ma być nietylko wynikiem nastroju pokojowego, ale także uzasadnionej podobno nadziei, że wkrótce najuciążliwsze dla przemysłu niemieckiego cła zostaną w taryfie ruskiej zniżone. Gazety pruskie mówią o tem, jako o fakcie niewątpliwym i radośnie zacierają ręce. Prasa ruska nadziei tej nie przeczy. Kiedy stawidło będzie odsunięte i upust otwarty — nie objaśniają.

Między Włochami i Francyą znowu stosunki się naprężyły. Włochy, zająwszy Massawę, oznajmiły mocarstwom, że znoszą t. z. kapitulacye, tj. prawa zwierzchnicze rozmaitych rządów nad swymi poddanymi; ponieważ zaś Francya uważa obwód zdobyty za własność sułtana a swoje prawa poręczone dawnemi umowami za pogwałcone, więc wystąpiła z protestem. Jest to wszakże *vana ira*, gniew próżny, bo inne państwa przesłały Włochom swą zgodę.

Nietylko technicznie, ale i politycznie ważnem jest połączenie linią kolejową Wiednia z Konstantynopolem, po której w przeszłym tygodniu wyruszył pierwszy pociąg. W Sofii, przez którą droga ta biegnie, odbyła się wielka uroczystość z udziałem wszystkich konsulów, z wyjątkiem niemieckiego, reprezentującego zarazem Rosyę.

Wiadomości z Bułgaryi brzmią sprzecznie. Według jednych, czas rządów ks. Koburskiego skraca się z nadzwyczajną szybkością; według innych — położenie, chwilowo zagrożone gwałtowną zmianą, pozostało w dawnej postaci. Zaznaczyć tylko wypada, że Rumunia i Serbia faktycznie wchodzą powoli w stosunki urzędowe z ks. Koburskim.

Po doniesieniu, że królowa Natalia postanowiła osobiście stanąć przed konsystorzem w sprawie rozwodowej, rozgłoszono inne, że ma nastąpić jakiś układ polubowny. Wątpimy zaś, czy po tylu skandalach byłaby możliwą zgoda.

Na bankiecie u lorda majora Salisbury wywiesił chorągiew pokoju, który, według niego, jest obecnie murowanym i nie potrzebuje z żadnej strony obawiać się wyłomu. Szkoda, że tych zapewnień nikt nie numeruje, wiedzielibyśmy przynajmniej, które z rzędu.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZJAZD GORZELNIKÓW W WARSZAWIE.

Dyrektor departamentu dochodów niestałych, p. Jermołow, opracował projekt zmian w gorzelnictwie, z którym przybył do Warszawy i zaprosił gorzelników Królestwa Polskiego. W tych dniach odbyła się walna narada. Myślą przewodnią w projekcie p. J., jest podźwignięcie małych gorzelni, zabezpieczenie ich od konkurencyi z wielkiemi i przeciwdziałanie zbyt obfitej produkcyi, gdyż dla skarbu bardzo uciążliwy jest wzrost premiów wywozowych za eksport okowity za granicę. Wydatek na ten cel obciąża rocznie budżet w ilości 6 milionów rubli i już nie może być powiększony. Od czasu zaprowadzenia akcyzy, gorzelnie rolnicze w Cesarstwie stały się w znacznej części przemysłowemi, a w Królestwie zamknięto wiele drobnych gorzelni, natomiast wzrosła produkcya większych. W sprawie odróżnienia gorzelni gospodarczo-rolniczych od przemysłowych, hr. Czacki oświadczył na naradach, że w Królestwie jest tylko 8 przemysłowych, w tej liczbie kilka drożdżowych i 2 pędzące wódkę z melasy. Po zatem wszystkie są rolnicze. P. Jermołow zaznaczył, że dane statystyczne wykazują w ciągu ostatnich lat kilkunastu zmniejszenie się w Królestwie liczby gorzelni z 1,200 do 386, poczem w roku 1885 wzrost do 404. P. Kowalski zaznaczył, iż następstwem zniknięcia wielu gorzelni było zabrnięcie ziemian w długi. Projekt ministeryalny ustanowił średnią normę produkcyi dla małej gorzelni w Królestwie 20,000 wiader 40-stopniowych rocznie, t. j. że gorzelnie więcej produkujące pozbawione są ulg akcyznych. Obecni na naradzie właściciele prosili, aby gorzelnie nasze pod tym względem zrównać z gorzelniami w gub. czarnoziemnych i południowych Cesarstwa, gdzie dla małych norma rocznej produkcyi — 35,000 wiader. Żądanie swe opierali na tem, że gorzelnie przy 20.000 wiad. rocznie jeszcze się nie opłacają, że nadanie większych przywilejów guberniom czarnoziemnym naruszy równowagę warunków handlowych. P. Jermołow i rewizor depart. doch. niest. zbijali to twierdzenie, utrzymując, iż wytwórcy tutejsi bynajmniej nie ucierpią skutkiem wyższej normy produkcyi w rzeczonych guberniach. Usiłowali dowieść to statystyką. P. T. Kowalski wyraził zdanie, że ostatecznie można by się zgodzić na normę 24.000 wiader dla gorzelni średnich a 8.000 dla małych. P. Jermołow obiecał usilnie popierać ten wniosek w ministeryum i wynurzył nadzieję, że przeciętna norma dla gub. Cesarstwa nieco da się zniżyć, zwłaszcza że przy obliczaniu jej gorzelnie przemysłowe mylnie włączono do rolniczych. Uchwalono następujące wnioski: 1) Zebranie uznaje za odpowiadające warunkom i interesom miejscowym oznaczenie normy przeciętnej dla gorzelni średniej w Królestwie 24,000 w., dla małej — 8,000. 2) Zebranie nie przychyla się do podziału gorzelni według stref. 3) Jeśli rząd podział taki uznaje za konieczny,

---

2)

USPOKOJONA.

Gorączkowo zaczyna rozpinać włosy. Szpilki z hałasem padają to na ziemię, to w otwartą szufladę toalety.

Naraz ręce jej wolnieją. Ostrożnie wsuwa szufladę; spina włosy bez pośpiechu tak, jak je zwykle spinała na noc i prawie ociężale zdejmuje z siebie szlafroczek.

Twarz jej przybiera wyraz rozmarzenia. Ręce odruchowo rozpinają haftki spódniczek.

Przypomina sobie, niewiadomo skąd, jedną chwilę lat dziecinnych: zabawę na wsi.

Siedziała w trawie i robiła ogródek. Kawałkiem kija wykopywała dołki w ziemi i zasadzała w nie poobłamywane gałązki drzew, łodygi kwiatów i zielska.

Za sobą miała nizki, szary płotek; przed sobą pola, zasiane żytem i zachodzącą na nie jaskrawą tarczę słońca.

Krajobraz ten tak żywo chwyta się jej pamięci, jak gdyby patrzyła na niego teraz. Czuje odurzający zapach ziemi i kwiatów. Wdycha rzeźwe, wiejskie powietrze.

Powoli przesuwa się w jej umyśle więcej wspomnień.

Kiedyś, jak była dzieckiem, lubiła zbierać w lesie mchy i paprocie.

Chciałaby w tej chwili być na wsi. Może pojedzie ze Stasiem w lecie do matki. Wszystkie swoje plany musi odłożyć na później. Teraz potrzebuje uspokojenia. Ten ból głowy nie przejdzie tak prędko. Musi być osłabiona, kiedy ją tak zmęczyło kilkogodzinne myślenie.

Rozbiera się powoli i wsuwa pod kołdrę cichutko, nie chcąc szelestem spłoszyć cisnących się na oczy obrazów.

Zasypia z niemi.

Po chwili budzi ją jakiś szmer.

Wiatr zaczyna sypać w okna zlodowaciałe płatki śniegu. Jęczy i świszczy w powietrzu.

Zima. Do lata daleko. Wolałaby teraz ciepło i zieloność, choć tęskni za śniegiem, gdy go nie widzi.

Znowu czuje silniejszy ból głowy i zamęt w mózgu.

Zdaje jej się, że nie zaśnie. Przymyka ociężale powieki. W półśnie, z którego nie może się otrząsnąć, opanowywują ją dziwaczne obrazy.

Wchodzi do wielkiej auli uniwersyteckiej w kształcie amfiteatru. Studenci sykają na nią, rzucają w nią pestkami owoców i śpiewają drwiące, nieprzyzwoite piosenki.

Chce dojść do pierwszego rzędu ławek; coś jej nogi spętało: nie może kroku postąpić. Chce krzyczeć: dusi ją za gardło. Studenci hałasują coraz więcej. Ktoryś ją popchnął. Upadła na twarz i nie może się podnieść.

Spocona, zrywa się z łóżka. Biegnie, sama nie wie, dokąd. Wreszcie staje, przeciera oczy i rozgląda się po pokoju. Wyciąga rękę do Stasia, aby go zbudzić, lecz cofa ją machinalnie. Powie jej znowu: „Myśl sobie o trawie, o płotku, o rzeczce: to cię uspokoi.“

On nic innego nie znajdzie.

Przykręca nocną lampkę, licząc, iż prędzej zaśnie po ciemku.

Leży długo z otwartemi oczami, myśląc o dziwnem upodobaniu Stasia do wsi, do błądzenia po lesie i do polowania na kuropatwy w polu.

Kiedy go widziała po raz pierwszy w życiu, miał na sobie szare myśliwskie ubranie. Pamięta doskonale okrągły kapelusz, który zdjął przed nią uroczyście w chwili, gdy go jej kuzyn przedstawiał, a który potem sama ubrała piórami świeżo zabitej kraski.

Wtedy lubiła myśliwskie jego opowiadania. Teraz krzywi się na nie.

Dlaczego?

Wtedy lubiła spojrzeć czasami ze wzgórka przed domem na wielkie przestrzenie pól zarośniętych, z rana wesołych, pachnących, rozbudzonych, w południe znużonych skwarem, wieczorem — spokojnych, poważnych.

zebrnnie wnosi, aby różnica norm produkcyi w różnych strefach była sprowadzona do minimum. Wyzyskiwanie wytwórców okowity przez składników stwierdziło całe zebranie. Hr. Czacki wnosił, żeby władze pozwoliły właścicielom gorzelni otwierać składy przy zwolnieniu ich od wykupywania patentów i składania kaucyi na zabezpieczenie ilości okowity. Na wiadomość, że od wytwórcy urządzającego skład okowity wymagane bywa nieraz oprócz patentu wykupienie świadectwa gildyjnego, p. Jermołów oświadczył, iż żądanie tego ostatniego jest nieuzasadnione i zaznaczenie to polecił zapisać do protokółu urzędowego. Co się tyczy zwolnienia od kaucyi, uważał to za rzecz bardzo trudną, w końcu prosił wytwórców o wygotowanie w tej sprawie wyczerpującego memoryału. Po za programem narad p. Kowalski prosił o pozwolenie otwarcia kursów gorzelniczych 6 — 8 tygodniowych dla nauki teoretycznej i praktycznej tutejszych gorzelanych, przy współudziale urzędników akcyzy. Właściciele gorzelni chętnie dadzą na to nakład. P. Jermołow oświadczył, że projekt ten poprze w ministeryum.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

(Dokończenie).

Jeśli zasada łączności nie jest obcą tym młodym narodom, to druga, pokrewna — zasada zgody nie znalazła tutaj miru i... dobrze im z tem. Tak bowiem szczęśliwie ukształtowały się stosunki, że każde rozgałęzienie ich programu ma swoje słońce, które wyzyskuje, z którego czerpie życiodajne wpływy, na korzyść wspólnego pnia. Stronnictw o rozmaitych programach tu wiele. Zasadniczo rozróżniają młodo- i staro-łotewskie lub estońskie i jeszcze wszech-łotewskie lub wszech-estońskie. Stare, zachowawcze stronnictwa posiadają charakter bardziej ugodowy, chciałyby darować niemcom prądy historyczne i opierając się na prądach bardziej tolerancyjnych, kiełkujących wśród społeczeństwa niemieckiego, z niem wspólnie wyzyskiwać dotychczasowe przywileje nadbaltyckiego samorządu. Postępowi, czyli młodzi, są dumniejsi: nienawidzą i gardzą swymi historycznymi ciemiężycielami, a jako rzutniejsi i energiczniejsi, przerzucili się na stronę narodu ruskiego, z którym, pod względem dążności politycznych, jednoczyła ich wspólna chęć pozbawienia niemców uprzywilejowanego stanowiska w kraju. Reformy rządowe, przyjmowane niechętnie przez niemców, znalazły serdeczne zrazu przyjęcie u Łotwy i estów, co ze swej strony wzbudziło u przedstawicieli władz ufność do mas ludowych i zamiar zużytkowania ich dobrych chęci. Atoli przewodnią myśl tego stronnictwa, jego hasło w walce z niemczyzną, zawarto w zdaniu: „odejdź i dla mnie zrób miejsce,“ spotkały wkrótce zawody. Póki bowiem w szkolnictwie ludowem, w sądownictwie i zarządzie gminnym znoszono język niemiecki, wszystko szło dobrze i „młodzi“ z każdym dniem potężnieli. Ale gdy, naturalnym biegiem rzeczy, języki ludowe tylko zrównano z niemieckim co do praw, państwowemu dając wszędzie stanowisko przeważne, położenie młodych uległo pewnemu wahaniu; natomiast stronnictwa „narodowe“ wszech-łotewskie i estońskie rosły w znaczenie. Te ostatnie grupy nie pragną ścisłych, stałych sojuszów, a wszelkie względy sympatyj lub antypatyj narodowych podporządkowują sprawie własnej. Oczywiście to stanowisko pośrodkowe, tylko wobec istnienia tamtych, skrajnych, ma racyę bytu. Samo zaś nic by nie zrobiło, nie zdziałało. Bo kto chce brać, musi coś dawać. Wszędzie wymiana usług—nic więcej! Czy potrzebuję nadmieniać, że tak różniące się co do środków żywioły wiodą zajadłą polemikę między sobą, w której udzielają sobie tytułów: warchołów i zacofańców, rusyfikatorów i germanizatorów, jezuitów, narodowców itd. itd.

Określają się wszelkie te stronnictwa najdosadniej w artykułach swoich pism; tutaj udamy się, by zaczerpnąć kilka jaskrawych barw dla naszego obrazu obecnych ukształtowań kraju tutejszego.

Łotewski organ zachowawczy *Łatweeschu Awesis* wspomina o dawnych występkach niemców i na zasadzie, że czasy się zmieniają, a z nimi ludzie, doradza tym, komu drogą jest zgoda ludności, zamieszkującej jedną ojczyznę, podać sobie dłoń i zespolić swoje interesy. Wykazuje pomoc udzielaną przez niemców łotewskiemu towarzystwu naukowemu, teatrowi itp., oraz niewdzięczność, jaką młodo-łotewska prasa w zamian niemcom odpłaca, kończy wreszcie artykuł mocną wątpliwością co do losów swej braci, czem daje świadectwo słabości i braku energii w stronnictwie konserwatywnem. Oto ten ustęp: „Dla szlachty stoi wiele dróg otworem do zapewnienia sobie przyszłości. Pozostanie ona zawsze szlachtą (?). Ale czy przyszłość łotewskiej narodowości jest równie pewną — to wielkie pytanie.“ Takie „sprytnie wykonceptowane“ argumenty robią wrażenie, ale oczywiście... w prasie niemieckiej. Jeśli powyższe poglądy są oryginalne, to niemniej ciekawy zbiorek myśli, przejawów szczytnej tolerancyi, podaje estońskie *Esti-Postimees*. Podtatusiałe pismo nie może podążać za orlimi polotami młodych. Troszczy się ono o „dobrobyt ludności,“ mniej o politykę. Chociaż kocha wiarę, tradycyę i ojczyznę, „lecz jeśli ktoś niechętnie mowy swej ojczystej używa, jeśli zmienia religię, to musi mieć jakieś pobudki, wyrachowania i nadzieje, które go nakłoniły do tego kroku, a które zwykle zwą się — szczególnemi okolicznościami. O tem, według nas, nie należy się rozpisywać po gazetach. Zresztą, kto nie mówi językiem ojczystym, lub kto zmienia wiarę ojców, nie szkodzi tem bynajmniej nikomu. To sprawa jego osobista, niedotycząca innych, którzy za to ani gniewać się nań, ani pisać o tem długich rozpraw nie mają prawa.“

Ludzie czynu inaczej rozumują. Oto np. redaktor petersburskiego *Wirmaline* spieszy powiadomić swych czytelników, iż dopiero w Petersburgu *pomyślał* o tem, że „estowie mają obszerną ojczyznę ruską, cieszy się, że tutaj w blizkości wielkich mężów Rosyi, tutaj, gdzie bije serce pół świata, jemu wypadła szczęśliwa dola żyć i dla swych ziomków pracować.“ *Walgus*, którego program zawiera zdanie: „Cesarz, ojczyzna i możliwie najlepsza dola estów,“ obiecuje pobratymcom, iż „pomoc nadejdzie od wysokiego tronu ruskich Monarchów, od miłości Ojca ojczyzny, którym kieruje Opatrzność swoją mądrością. Tylko stamtąd oczekiwać mogą estowie poprawy swego losu, tylko stamtąd płynęły dla nich łaski.“ Przez 600 lat, twierdzi *Walgus*, naród estoński ciążył ku Rosyi; niegdyś nad jezioro Pejpus, później do Moskwy, dziś nad Newę zwraca on błagalne spojrzenia i prośby o pomoc przeciw obcemu jarzmu. Wiara w tę pomoc głębiej niż kiedykolwiek zakorzeniła się w serca estów, wdzięcznych za dobrodziejstwa, które ze wschodu uzyskali. Inne stronnictwa, przeciwdziałające zlaniu z Rosyą, wiodą do zguby kraj, nie znajdą zresztą w Estonii posłuchu. Kłamliwem jest twierdzenie, jakoby nowe szkoły, tłumne przyjmowania prawosławia groziły

---

Teraz nie wychodzi z pokoju, gdy jest na wsi. Wszystko ją gniewa. Jest ciągle zła, kapryśna, zmęczona.

Myśli o tem, jakby było w górach. Staś prosi ją, żeby pojechała z nim konno. Nie chce: siada w fotelu, tyłem do okna i czyta książkę.

Dziesięć lat temu jeździła z nim codzień.

Raz—pamięta—matka pozwoliła im wyruszyć samym. Konie ich stępa wyszły po za bramę wjazdową. Gdy matka nie mogła ich już widzieć z werandy, Staś przybliżył się do niej na swoim bułanym, wziął ją za rękę, spiął konia ostrogą. Popędzili szeroką drogą wprost przed siebie galopem, trzymając się za ręce. Pola, łąki, rzeka, płynąca tuż pod samym lasem, wszystko to zmieniło się dla nich w jedno olbrzymie, szare koło, wirujące przed ich oczami wraz z niewyraźnemi kresami widnokręgu. Słyszeli tylko miarowy tętent kopyt i parskanie koni. Wiatr łączył ich oddechy, chłodząc rozpalone twarze.

Stanęli na skraju lasu, zeskoczyli z siodeł i, prowadząc konie za uzdy, szli prosto w głąb, zostawiwszy ścieżkę po za sobą. Zbierali po drodze dzwonki i goździki. Rozmawiali o świeżo przeczytanych książkach, różniąc się w zdaniach. Doszedłszy do gęstwiny, zarośniętej liściastemi krzewami, Staś wziął uzdę z jej ręki i przywiązał konie do najbliższego drzewa. Następnie z liści i mchu zrobił ławeczkę pod cieniem leszczyny. Usiedli przy sobie, odbiegając w rozmowie coraz dalej od pierwszego tematu.

Gdy wstali, usta ich paliły pocałunki.

Wracali stępa, onieśmieleni, usiłując nawiązać rozmowę, która się rwała. On wskazywał jej na żółtawo zachodzące promienie słońca, odbijające od powierzchni rzeczki, nad którą stanęli, pojąc konie. Wskazywał gonitwę obłoków na niebie, szukając nazw dla zmienianych co chwila ich kształtów.

Pamięta dokładnie każdy najdrobniejszy szczegół tej milczącej jazdy.

Nad łąkami powstawały gęste, białe opary. Księżyc wschodził powoli. Światła i cienie migotały przez gałęzie topoli, rosnących wzdłuż drogi. Cisza była zupełna. Żaden odgłos nie dolatywał z przestrzeni. Ptaki już spały. Komary i drobne muszki, wystraszone chłodem, wiejącym od zroszonych pól, przestały brzęczeć. Gniada jej klacz tylko szarpała łbem i rżała do źrebięcia, które zostawiła w stajni.

Wtedy myślała sobie: „dobrze, że tak cicho.“ Teraz nie lubi spokoju; szuka zawsze gwaru i chaosu wrażeń.

Może z tego tak osłabły jej nerwy?

Musi się zapatrzeć na Stasia. On będzie zawsze szczęśliwy. Potrzebuje niewiele. Zachwyca go szary płotek, zachwycają malwy przed wiejską chałupą, zielona łączka i trochę drzew.

Chce wstać, spojrzeć na śpiącego. Mówi zawsze, że po wyrazie jego twarzy odgaduje to, o czem śni. Zobaczy, czy się jeszcze uśmiecha?

Siada na łóżku, lecz głowa jej ciężeje i opada napowrót na poduszki.

Przez okna zagląda stary, zimowy ranek. Niby świta; ale do jasnego dnia jeszcze daleko.

Zasypia mocno. Na razie mózg jej nie majaczy. Nie ma żadnych sennych halucynacyj. Powoli jednak zaczyna marzyć. To zdaje jej się, że leży w trawie nad wodą i patrzy w odbicie swej twarzy okrągłej o wystających policzkach i oczach wypukłych. Fale to zwężają ją i wydłużają, to rozszerzają i skracają. Niebo, obłoki i jakieś żółtawe płomyki migają na powierzchni, nie sięgając dna, jak twarz jej, którą widzi w każdym kamieniu piaszczystego łożyska.

Zasypia mocniej i nie pamięta dalszego ciągu snu.

Majaczy potem, że idzie wbród przez staw, zarośnięty sitowiem i nie może się z niego wydostać. Słyszy skrzeczenie żab, jednostajne, przeciągłe, chrapliwe, nudne. Próbuje pływać i pada na dno. We śnie coś ją podrzuca. Drga całem ciałem, lecz śpi dalej. Nad samem ranem marzy jej się, że jest w lesie ze Stasiem. Siedzą na pniach

wynarodowieniu. Nikt nie widział zrusyfikowanego esta. „Rusyfikacya nastąpiłaby dopiero wówczas, gdyby rząd przeciwdziałał objawom estońskiego życia społecznego, lub gdyby połowę estów wywiózł do głębi Rosyi, sprowadzając natomiast rosyan do nadbałtyckich gubernij. Ale takiego losu nie doznał żaden naród *fiński* w Rosyi.“

Times łotewski: *Baltijas Westnesis* mniej więcej takie samo robi wyznanie wiary politycznej. „Ciemna przyszłość minęła. Zrobiło się jaśniej. Cokolwiekby mówiono z różnych stron, łotyszów, cieszących się opieką rządu ruskiego, czeka przyszłość piękna. Nie należy się dziwić, że jedynem zadaniem tego rządu jest troska o naszą pomyślność. Rząd powinien przedewszystkiem mieć na baczności sprawy ogólno-państwowe. Łotysze zaś sami winni myśleć o tem, by ich interesy solidaryzowały się z ogólnoruskimi. Przekonać trzeba rząd, że łotysze są wiernymi poddanymi i przyjaciołmi narodu ruskiego, a wówczas wykaże się tożsamość troski o dolę Łotwy i o los ogólnopaństwowych spraw.“

Cytaty powyższe powinny wystarczyć. Dla charakterystyki podajemy jeszcze ustęp z mowy przedstawiciela władzy, p. gubernatora liflandzkiego, generała Zinowiewa. Podczas obchodu jubileuszowego klubu łotewskiego powiedział on, iż łotyszom „przymusowo narzucono obcą dla Rosyi oświatę, obce pojęcia, nieruski kierunek pojęć politycznych i socyalnych. Mechanicznie zjednoczeni z Rosyą, pozostawali jednak łotysze obcymi dla rosyan. Dążnościom łotyszów do duchowego zlania się z Rosyą otworzono szerokie pole.“

Tak pisano i mówiono przed rokiem niespełna. Ostatnio czuć ton cokolwiek minorowy; spowodowały go dwie skały. Jedną była sprawa estońskiej szkoły aleksandryjskiej. Z początkowych klas trzech marzyli później estowie utworzyć gimnazyum estońskie. Tymczasem pierwotny projekt nie uzyskał zatwierdzenia i powstała trzechklasowa miejska szkoła z językiem wykładowym ruskim; estoński język był tylko jednym z przedmiotów programu. Żal był z tego powodu wielki. Jeden tylko *Walgus* pozostał konsekwentnym, ciesząc się z obrotu sprawy. Zarzucono mu wprost zdradę względem ideałów narodowych. Drugi prysznic szerszego znaczenia dotyczył Łotwy. Przyjacielska prasa ruska poczęła doradzać przyjęcie przez łotyszów czcionek i pisowni słowiańskich. Straszną wrzawę podnieśli łotysze. Jednomyślnie wszystkie pisma dowodziły niepożyteczności tej zmiany. Prasa ruska atoli wołała w imię „duchowego braterstwa,“ dowodząc słusznie, że krok taki znajomość języka ruskiego ułatwi i zlanie tak pożądane przyspieszy... *Riżskij Wiestnik* oburzył opór łotyszów i zagroził wzięcie przez kogo innego inicyatywy w tej sprawie. Jakoż rzeczywiście petersburska Akademia nauk obecnie opracowywa alfabet słowiański dla narzeczy fińskich narodów.

Tak się w odzwierciedleniu wypadków przedstawiają dziś stosunki nadbałtyckie. Z pism niemieckich dwa liberalne *Ztng für Stadt und Land*, oraz *Duena Ztng* szczerze apostołują zgodę niemiecko-łotewską.

A. Rosset.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ RODZINY.

IV.

Zwróćmy się obecnie ku pedagogicznym funkcyom rodziny. Mijają już czasy, kiedy sądzono, iż każdy ojciec lub matka posiadają wrodzone uzdolnienie wychowawcze; przeciwnie, zyskujemy przekonanie, iż to wymaga sporo nauki teoretycznej i wprawy praktycznej, do czego znowu można dojść jedynie przy społecznej specyalizacyi zajęć. Nowoczesne zaś warunki zarobkowania, odrywające rodziców od domu, czynią ich ku temu coraz nieudolniejszymi i jeszcze bardziej wykazują potrzebę oddania kierownictwa od lat najwcześniejszych w ręce należycie przygotowane. „Tegoczesny podział pracy coraz więcej uniezdolnia rodziców do wychowywania dzieci, pomoc zaś fachowych ogródków czyni nieodzowniejszą“ — powiada urzędowe sprawozdanie amerykańskiej komisyi szkolnej. Dążności w tym kierunku widzimy na każdym kroku. W parkach dokoła Lipska, wiosną, latem i jesienią można oglądać setki malców i dziewcząt od 3 do 10 lat, gromadami po 30 do 40, bawiące się pod opieką specyalnych dozorczyń. Są to dzieci rodziców, zajętych po za domem lub nawet w domu, lecz niemogących doglądać potomstwa, oddających je więc dozorczyniom za opłatą 2 marek, mniej więcej, miesięcznie. W Ameryce dzieci pobierają tutaj zarazem naukę, zajęcia zaś przewodników nie ustają po za oznaczonemi godzinami i głęboko wkraczają w dziedzinę „ogniska domowego“ — oni to w razie choroby sprowadzają doktora i pielęgnują dziecinę, w wypadku śmierci zajmują się pogrzebem itd. Kwestya unarodowienia tych instytucyj zajmuje obecnie żywo uwagę władz szkolnych amerykańskich; komisya urzędowa uważa otworzenie seminaryów dla dozorczyń za rzecz pierwszorzędnej wagi. Co więcej, tu i owdzie istnieją takie zakłady bezpłatne, na koszcie gminy; zresztą to daje się już spostrzegać i w niektórych gminach szwajcarskich, gdzie nawet agitują o udzielanie najniższym oddziałom szkolnym bezpłatnego śniadania (w Ameryce dziatwa otrzymuje podręczniki i wszystkie materyały szkolne bezpłatnie). Nasze ogródki froeblowskie są również podobnem wtargnięciem społecznego podziału pracy w zakres rodziny, lecz zbyt pozbawiającem dziatwę inicyatywy i czyniącem wskutek tego z dziecka niesamodzielną papużkę.

Lecz nie dość tego. W miastach Ameryki i Europy zachodniej upowszechnia się zwyczaj, nawet śród ludzi zamożnych, oddawania dzieci mamkom na wieś, gdzie one zostają bez dozoru; dają więc słyszeć się głosy, żądające otwarcia zakładów gminnych mamek pod dozorem urzędnika-lekarza, gdzie za opłatą pewną niemowlęta znajdowałyby troskliwą opiekę. Nie poszukujemy liczniejszych faktów. I powyższe dowodzą istnienia dążeń, aby w społecznym podziale pracy funkcye rodzenia i wychowywania gatunku zostały oddzielonemi od siebie.

Powstanie rodzinnych Hyde-park Countów, gdzie wyodosobnienie gospodarcze i pedagogiczne rodziny zostałoby usunięte, jest zupełną możliwością; jeżeli bowiem przedsiębiorczość prywatna w kawalerskich zakładach tego rodzaju może widzieć źródło dostatecznych zysków, mimo iż umożliwia wygodniejsze i tańsze życie, nic nie staje na zawadzie dalszemu ich rozszerzeniu na grupy rodzinne. W tym kierunku dąży przynajmniej tak poważna i szanowana przez prawowiernych ekonomistów (Coste, Fawcet, Leroy-Bealieu) instytucya, jak Wholesale Society — grupa angielskich stowarzyszeń spożywczych, obejmująca w r. 1884 aż 678 tych ostatnich, z 450,000 uczestnikami. Nie ciągnienie zysków, lecz dostarczanie w dobrym gatunku przedmiotów spożywczych jest celem i podstawą całego związku; wpływające dochody są więc częściowo obracane na rozszerzenie tego zada-

---

drzew pościnanych i czytają. Dusi ich zapach żywiczny. Wiatr strząsa im na kolana szyszki sosen. Pod stopami mają pełno paproci. Zdaleka bieleją konwalie i storczyki. W powietrzu brzęczą muszki i komary. Wiewiórki szeleszczą między gałęziami klonów. Z zieleniejącej w bliskości polany przedziera się blask żółtawo - purpurowy, oblewając twarz Stasia i cały krajobraz dokoła. Nie razi oczu. Drży łagodnie i wkrótce znika.

Wracają, to idąc po zroszonym, szarawym mchu, to płynąc nad wierzchołkami drzew tak lekko, jak na skrzydłach jaskółek.

Kołyszący ruch uspakaja jej nerwy. Uśmiecha się przez sen i porusza ustami, jak gdyby chciała coś mówić.

Nie majaczy już dalej, lecz śpi, jak na początku, mocno, ciężko oddychając.

Staś nie może się doczekać jej przebudzenia. Koło południa, wpadłszy na drugie śniadanie, zastaje ją jeszcze śpiącą. Podchodzi do łóżka i całuje ją w czoło.

Zrywa się, przelękniona. Drży i przeciera oczy.

„To ty?“ — szepcze po chwili i kładzie się napowrót, odurzona snem.

Nie może się opamiętać; nie może sobie przypomnieć, gdzie jest, co było zeszlej nocy:

Gdy wstała i doszła do toalety, na której leżało jeszcze parę zapisanych kartek, przyniesionych tu niewiadomo kiedy i niewiadomo przez kogo: uprzytomniła sobie naraz całą wczorajszą wewnętrzną burzę.

Głowa cięży jej jeszcze. Czuje ból nawet za dotknięciem skóry. Oczy wciskają się w głąb czaszki i palą. Trudno jej zebrać pojęcia. Spogląda na zapisaną kartkę, czyta ją i drze w kawałki.

Dzieciństwo. Dziś nie może myśleć o poważnej nauce: jest chora, zbita, potrzebuje spoczynku.

Ogarnia ją niechęć, niesmak do samej siebie. Czem jest? Lalką, zmieniającą co chwila zamiary swoje, dążności i upodobania. Musi pracować nad sobą, aby sobie nadać jednolity kierunek, musi sobie nakoniec stworzyć program życia, musi go się trzymać ściśle.

Cały dzień dziś nie przyjmie nikogo. Chce zostać sama. Burza w mózgu nie przeszła.

Pragnie spokoju.

Po śniadaniu, które zjadła z mężem, woła służącego, mówi mu: „Nie ma mnie w domu, jeżeliby ktoś przyszedł.“ Wchodzi do sypialnego pokoju: z jednej strony zamyka drzwi na klucz, z drugiej spuszcza portyery.

Musi być zupełnie sama. Próbuje czytać, ale nie może... Jest roztargniona. Myśli jej się rwą i rozbiegają. Bierze robotę w rękę: palce drżą. Łzy napływają do oczu.

Nie chcąc być bezczynną, otwiera szuflady i porządkuje w nich. Przekłada graciki na toalecie, przesuwa meble, przestawia kwiaty.

Nagle przestaje porządkować. Zostawia szuflady otwarte i zaczyna chodzić szybkiemi krokami po pokoju. Oczy jej błyszczą. Usta i ręce drgają nerwowo.

Potakuje głową, to znowu wstrząsa nią przecząco.

Siada na jutowej kanapce pod oknem: po chwili wstaje i chodzi znowu bez zmęczenia.

Nagła, nieoczekiwana, uderzająca myśl zabłysła w jej główce.

Nie może się z niej otrząsnąć.

Mózg pochłania ją i przerabia.

Przeniosą się na wieś. Za pieniądze, jakie mają, kupią albo wydzierżawią niewielki jaki mająteczek. Staś odżyje. Ona przyzwyczai się prędko do nowych warunków. Znajdzie w nich cel, o jakim marzy: niewolniczą, mrówczą pracę bez wytchnienia. Będzie uczyła wiejskie dzieci, leczyła chorych, wynajdywała zajęcia biednym. Będzie rozpożyczała książki dorastającym panom w sąsiedztwie i przyzwyczajała je do czytania. Będzie hodowała kwiaty i pilnowała steru gospodarstwa.

Gwar miejski już ją znużył: nie chce go więcej; pragnie spokoju.

nia, częściowo — na otwarcie klubów i bibliotek dla stowarzyszonych, częściowo pomiędzy nich dzielone. Stowarzyszenie posiada agentury w Danii, Irlandyi itd., dla tańszego nabywania produktów; własne statki transportowe i fabryki (obuwia, mydła, biszkoptów itp.), marzy o własnych plantacyach kawy, herbaty i trzciny cukrowej — i wszystko dla dobra stowarzyszonych. Podobno zamyśla o wznoszeniu własnych domów mieszkalnych dla członków; wtedy urzeczywistnieniu Hyde-park Countów rodzinnych w obrębie związku nie nie stałoby na przeszkodzie.

Dla uwydatnienia ducha czasu warto tu rzec słów kilka o projekcie ang. Trades-Unionów, największej autonomicznej grupy globu ziemskiego (2 mil. członków!) — zakładania własnych przedsiębiorstw wytwórczych i obracania płynących zysków na rozszerzanie ich bez końca. W ostateczności otrzymalibyśmy olbrzymie przedsiębiorstwo, ogarniające różne zawody na podstawie własności zbiorowej, jakiego jeszcze dzieje nie widziały. Zauważymy, iż większość stowarzyszonych z Wholesale Society stanowią trades-unioniści.

Prądy te nie są ani zabawkami filantropów, ani też wynikiem rozbałamuconych marzycieli. Przeciwnie, powstają one pod wpływem wymagań życia i interesów materyalnych, jako konieczność, zarazem niezbędna i zyskowna. Niektóre instytucye, jak rozszerzanie gminnych ogródków dziecięcych, wprost spoczywają w interesie całego społeczeństwa wobec rozkładających wpływów na wychowanie potomstwa ze strony tegoczesnych źródeł zarobkowania. Zresztą same te tendencye są rozerwane, pojedynczo idące, często drobne, jak strumienie górskie; lecz jak tym ostatnim nic nie przeszkadza połączyć się później w jednem łożysku olbrzymiej rzeki, tak samo możemy się tego spodziewać w rozwoju społecznym przedstawionych tu dążności. Naturalnie, będzie to dziełem nie minuty, ani dziesiątka lat, gdyż rozwój społeczny wypada mierzyć raczej wiekami. Dokąd te prądy przywiodą, nie będziemy rozbierali; drobiazgowe bowiem fantazyowanie na ten temat przyszłości, chociaż z bezstronną analizą pierwiastków, uważamy za zabawkę bez wartości. Natomiast pozwolimy sobie przytoczyć słowa Letourneau'a z najświeższej jego książki *). Mówiąc o pszczołach i mrówkach, zauważa on: „Miłość macierzyńska, tak samolubna zazwyczaj, zamieniła się tu w społeczną. Nie jest niemożliwością, aby pewnego pięknego poranku nie dokonała się taka zmiana psychiczna w społeczeństwach ludzkich przyszłości. Podznaczamy ten fakt, jako niezwykłej wagi dla socyologii teoretycznej, dowodzi on bowiem, że liczne a złożone społeczności, z przeprowadzonym podziałem pracy, istnieć mogą bez rodziny“ (str. 29, 44). Poglądy na przyszłość wypowiada w końcowych ustępach dzieła: „Jeżeli, co jest prawdopodobnem, rozwój indywidualistyczny nie będzie ustawał, rodzina cywilizowana musi rozłożyć się jeszcze bardziej i w końcu istnieć będzie jedynie zanotowana w nauce... Przyszłość, mniej lub więcej odległa, wprowadzi związki monogamiczne, dowolnie zawierane i rozrywane za prostą zgodą wzajemną i społeczność mieszać się będzie tylko do punktu dla niej ważnego — do losu wychowania dziatwy... Rozprzężenie to rodziny pociągnie za sobą utworzenie większej jednostki społecznej, opartej na wspólności interesów i pod inną formą wskrzeszającej solidarność, bez której niemożliwem jest gromadzkie pożycie. Zmiana ta wymaga głębokich przeobrażeń w organizmie społecznym“ (str. 443 i nast.).

* * *

Jeszcze słów kilka. Cokolwiekbądź nastąpi, jesteśmy pewni, że świat społeczny wraz z tworami cywilizacyi nie zginie. Podstawowa czynność społeczna—reprodukcya własnego, ludzkiego gatunku, zdrowego fizycznie, umysłowo i moralnie — odbywać się będzie według form innych—oto i wszystko. Mniemamy nawet, iż wskazana przyszłość wywiąże się z tego zadania lepiej od teraźniejszości, ile że wychowanie od pierwszych chwil życia spoczywać będzie w doświadczonych i wytrawnych rękach pedagogów. Rodzice, zwolnieni od trosk gospodarstwa domowego i powinności wychowawczych, będą wolni w kształtowaniu swego związku wzajemnego. Będzie on związkiem prywatnym, niepotrzebującym uprawnienia społecznego, lecz będzie polegał tylko na uczuciu sympatyi. Co do nas, sądzimy, iż, w miarę masowego rozpowszechnienia filozofii monistycznej i wzmożenia się wiedzy przyrodniczej wraz z wzrostem uczuć altruistycznych względem przyszłych pokoleń, przy zawieraniu płodnych związków małżeńskich, przy sympatyi, będą uwzględniane i inne czynniki. Dziedziczność jest prawem organicznem. Z rodziców, wątłych fizycznie, tępych umysłowo, zwyrodniałych uczuciowo, tylko w nader wyjątkowym razie, jako atawistyczne cofnięcie się do wcześniejszych pokoleń, może zrodzić się zdrowe potomstwo. Krzyżowanie się zdrowych i zdolnych pierwiastków z niższymi w zasadzie sprowadza jedno — upodlenie pierwszych w spłodzonem pokoleniu. Przyszłość przyjmie fakty te prawdopodobnie pod uwagę. Podobno w Ameryce istnieją już obecnie stowarzyszenia prywatne dla uwzględniania praw dziedziczności przy zawieraniu związków małżeńskich,— przekonywa się niskie umysłowo jednostki o niemoralności utrwalania miernoty w potomstwie. Angielski antropolog Galton żąda, aby w każdej rodzinie prowadzono księgi antropologiczno-psychiczne dla członków w celu regulowania najpomyślniejszych dla dziatwy małżeństw. We Francyi myśl ta znajduje energicznego szermierza w osobie profesora antropologii Lapouge'a. Nic nie zabrania nam spodziewać się, iż z rozwojem dalszym umysłowości w jednostkach zrodzi się masowy wstręt ku przekazywaniu własnej miernoty dalszym pokoleniom, podobnież jak powstała odraza ku moralności dzikiej, nakazującej zabijać jedno z bliźniąt. W takiem regulowaniu obcowania małżeńskiego społeczeństwo znajdzie najpotężniejszy widok postępu — zamiast ślęczenia nad wykształceniem umysłów nieuzdolnionych, nie będzie ono ich zgoła produkowało. Dobór ten dokonywać się będzie z pobudek moralno-indywidualnych, z jakich obecnie staramy się o uratowanie komuś życia. Spełnionem zostanie wtedy zasadnicze prawo bytowania społeczeństw: umiejętna hodowla własnego gatunku i to z zaspokojeniem potrzeb rodziców, (co silnie uwzględniają wspomniane stowarzyszenia amerykanów) i na podstawie indywidualnej inicyatywy.

Przyszłość przedstawia się strasznie dla umysłów, bezwładnych w wyładowywaniu energii nerwowej dla przyswojenia nowych idej. Podobnie, gdy w Anglii poczęto wprowadzać omnibusy, tłuszcza głosiła upadek ogólnego dobrobytu... W każdym razie staraliśmy się zająć stanowisko jedynie naukowe: człowieka, który poszukuje, dokąd dąży teraźniejszość, bez względu na własne uczucia. Wiemy, że jesteśmy bezsilnym atomem w biegu strumienia społecznego. Powiązanie przyczyniowościowe zjawisk społecznych rodzi w nas jedne, niszczy inne popędy, obdarza nas równemi

*) *Evolution du mariage et de la famille.*

Rozwija plan swój coraz obszerniej; zapuszcza się w coraz śmielsze marzenia.

Ona i mąż jej zaprowadzają tysiące zmian, stanowią centrum promieniującej oświaty.

Oczy jej błyszczą, źrenice wypukleją; rumieńce występują na twarz.

Zaczyna się niepokoić. Chciałaby koniecznie pomówić z kimś o nowych swoich planach.

Kiedy Staś przyjdzie?

Nie może go się doczekać. Patrzy na zegar: jeszcze pół godziny do obiadu.

Otwiera drzwi, podnosi kotary, biegnie do kuchni, gdera trochę na kucharkę, poprawia nakrycia na stole w jadalnym pokoju, porządkuje półki w kredensie.

Wszystko to trwa dla niej pół doby.

Wreszcie Staś przychodzi.

Wita go z radością. Od progu woła: „coś ci powiem, coś ci powiem.“

Po obiedzie wyciąga go do niebieskiego pokoju na czarną kawę. On zapala cygaro. Ona ma mówić. Chce zacząć: nie wie, jak; słowa więdną jej na ustach. Mąż rzuca jej szereg pytań; na wszystkie odpowiada: „nic, nic to.“ Wreszcie po kilkominutowym wysiłku milknie. Próżno Staś naciera. Porusza głową na znak przeczenia i wychodzi.

Staś rozpoczyna poobiednią drzemkę. Ona zamyka się znowu w sypialnym pokoju.

Bierze książkę w rękę, lecz nawet nie usiłuje czytać. Myśli jej odbiegają daleko od pesymistycznych uwag Claude Larcher'a.

Dobrze, że nie powiedziała nic Stasiowi. W chwili gdy miała mówić, wyobrażała sobie cały szereg trudności, jakie projekt jej mógłby spotkać w zetknięciu się z rzeczywistością.

Czy Staś mógłby naraz zrzucić się ze wszystkich interesów, jakie prowadzi, czy mógłby wycofać umieszczony w nich kapitał, czyby chciał opuścić pewne i stałe zyski dla niepewnych i niestałych, mozolnie zdobywanych?

Staś byłby przyjął plan jej z dobrotliwym uśmiechem, byłby wyliczył wszystkie jego dobre strony, byłby dodał: „trzeba o tem pomyśleć,“ a za tydzień — łagodnie, nie chcąc jej urazić, rzekłby: „nie, to się nie da przeprowadzić.“

Słyszy go, jak wychodzi po półgodzinnej drzemce. Coś jej szepcze jeszcze raz: „powiedz!“

Wstaje, lecz cofa się od progu. Nie chce w oczach męża uchodzić za zbiornik planów, zmieniających się co chwila. Stale widzi nieraz w jego oczach, że ją uważa za kapryśne, zmienne, niewytrwałe dziecko: to ją gniewa. Pomówi z nim dopiero po gruntownej i sumiennej naradzie z sobą samą.

Spogląda w okno. Możeby wyjść?

Zimno. Wiatr huczy. Śnieg z deszczem bije w szyby. Przez szpary drzwi balkonowych i pory ścian wciska się ostre, przejmujące powietrze.

Lepiej w ciepłym pokoju, niż na zabłoconej ulicy.

Przyjaciółki czekały na nią pewnie dziś z rana. Pisze do nich krótkie usprawiedliwienie. Woła służącego, mówi mu jeszcze raz: „ktokolwiek przyjdzie, nie ma mnie w domu.“ Przechodzi do niebieskiego pokoju i, wyjąwszy z szuflady okrągłego stoliczka swój pamiętnik, zaczyna przewracać od początku szybko kartkę po kartce. Doszedłszy do środka, porusza kartki coraz wolniej, zakreśla niektóre ustępy paznogciem na marginesie, mówiąc: „to dla Stasia.“

Staś, wróciwszy wieczorem, zastaje ją pochyloną nad grubą księgą w zielonej okładce. Twarz jej rozogniona, oczy biegają szybko po równych, ścisłych, drobno zapisanych liniach. Każe mu usiąść przy sobie i wskazuje zakreślone miejsca.

Czyta je głośno z uśmiechem zadowolenia. Ona pochłania każdy wyraz.

Po raz pierwszy od dnia ślubu wrócili do narzeczeńskich wspomnień. Pisane plastycznem piórem, roztaczają się przed niemi żywo i barwnie. Spacery po skoszonych łąkach, przejażdżki konne, rozmowy i pierwsze pocałunki w lesie, mało wieczorki

stanami emocyonalnymi, co więcej rodzi nawet złudzenie, że nasza „wola“ i świadomość są samoistnymi i pierwotnymi kształtnikami ustroju społecznego. Lecz to nie zmienia rzeczywistości: czem jest kropla wody w prądzie rzecznym, tem samem człowiek w rozwoju społecznym — cząsteczką, unoszoną przez bieg bez własnej woli, lubo ze złudzeniem woli. Atoli, będąc atomem bezsilnym, nie chcemy być nieświadomym, i z tego to powodu życzylibyśmy odsłonić rąbek tajemniczej przyszłości, która wyłania się niezależnie od indywidualnych pragnień. Jeszcze jedno pytanie. Jak czuć się będzie człowiek w przyszłości? Lecz dosyć wspomnieć przykłady o subjektywnym stanie członków rodziny polygamicznej, polyandrycznej (patrz początek artykułu), ażeby zrozumieć, iż człowiek zawsze umie się przystosować do form wymaganych przez życie; co więcej, otoczyć je bezwzględnem uczuciem uwielbienia za doskonałość...

Ludwik Krzywicki.

MORFINOMANIA.

Używki, czyli środki pobudzające i podniecające, stały się chlebem powszednim dla nas wszystkich. Kawa, herbata, tytoń, alkohol w swych rozlicznych kameleonowych postaciach — wszystkie te środki, dawniej uważane za lekarstwa lub trucizny, są dzisiaj powszechnymi, niemal niezbędnymi składnikami odżywiania. Organizmy przyzwyczajają się do nich, żyją i działają, podlegając ich wpływowi, na pozór nieznacznemu, w gruncie jednak o tyle poważnemu, że oddziaływa on nietylko na samo zatruwające się osobniki, lecz nawet na pochodzące od nich pokolenia. Wytwarzają one w ten sposób ludzi coraz słabszych, coraz mniej odpornych na przeciwieństwa i klęski losu, a skutkiem tego nanowo uciekających się do owych trucizn, aby ich zniečzulającem lub podniecającem działaniem choć na czas krótki, choć na chwilę oszołomić się, wyrwać z koła cierpień umysłowych, moralnych i fizycznych. Przeklętą siłą złego jest — jak powiedział Goethe — wytwarzanie przezeń dalszych nieszczęść. Zastosować możemy te słowa do używek podniecających i narkotyków; chwilowo i subjektywnie pomagając, przynoszą szkodę ukrytą, lecz głęboką, która z czasem na jaw wychodzi, zagrażając szczęściu, a nawet życiu człowieka, jego rodziny i potomków.

Nowym modnym środkiem stała się od pewnego czasu *morfina*. Ten alkaloid (ekstrakt) makowca, tj. opium, podobnie jak początkowo alkohol, używany dawniej tylko w medycynie, obecnie upowszechnia się coraz bardziej, jako podnieta, jako chroniczna, nałogowa trucizna. Gdzie społeczeństwa czynniejsze i bardziej od naszego gorączkowe wiodą życie, np. w Ameryce, we Francyi, w Niemczech nawet, morfina w klasach zamożniejszych, a szczególniej oświeconych, współzawodniczyć zaczyna z alkoholem, przewyższając go szybkością działania, łatwością użycia, taniością, lecz zarazem — znacznie szkodliwszemi następstwami. I u nas coraz częściej słyszymy o podobnych wypadkach; niedawno jeden obiegał nawet prasę peryodyczną. W dodatku pamiętać należy, że wobec tajemniczości i skrytości morfinistów wiele z tych wypadków pozostaje ukrytych nawet przed najbliższymi, a tembardziej przed ogółem znajomych. Ostrzedz nieświadomych, powstrzymać próbujących, zagrozić nałogowcom, pocieszyć wreszcie ofiary — oto cel naszego artykułu.

Do morfiny uciekają się dwóch kategoryj ludzie: chorzy, którzy doznając bólów znacznych, a mając przez lekarza zapisany ten środek, powoli przywykają doń i używają nadal, nawet po ustąpieniu dolegliwości, oraz ludzie gorączkowego życia: spekulanci, literaci, artyści, giełdowicze, birbanci — dla podniecenia się lub dla usunięcia przygnębienia, wywołanego życiem nieprawidłowem. Do tej drugiej kategoryi zaliczyć wypada również liczny poczet kobiet, bądź nieszczęśliwych, bądź chorowitych i znudzonych, które, wstydząc się alkoholu i tytoniu, w morfinie szukają ukojenia, pociechy, lub wymarzonych rozkoszy, jakich im życie nie daje.

Morfina, jak każdy inny nałóg pod maską przyjemności doradczej ukrywający własności zgubne, powoli opanowywa całego człowieka, czyni go swym niewolnikiem, posłusznym w końcu nietylko ze względu na dostarczaną chwilowo przyjemność, ile — i to bardziej jeszcze — ze względu na cały szereg długich cierpień, jakim podpada ten, ktoby chciał jej się wyrzec, gdy już raz do niej przywykł.

Wpływ jej daje się podzielić na pięć okresów. W pierwszym trucizna działa podniecająco, jak kieliszek doskonałego wina. Morfinista wmawia sobie większe siły i zdolności, niż w rzeczywistości posiada, słowem, znajduje się w stanie przyjemnego podniecenia.

Drugi okres nazwać by można nirwaną, o której tak marzyli i marzą filozofowie indusey. Człowiek nie doznaje ani przykrości, ani przyjemności, tylko spokoju; dlatego rezultatu tyle właśnie ludzi staje się morfinistami.

W trzecim okresie morfina nie sprawia już ani przyjemności, ani nie daje spokoju, lecz jedynie pozwala na jakie takie spełnianie codziennych obowiązków; morfinista musi zażyć codzień pewną dawkę trucizny, aby módz istnieć; dla dojścia do poprzednio opisanego skutku, musi znacznie podwyższyć zwykłą dawkę.

W czwartym okresie występują już objawy chronicznego otrucia; okresu pierwszego, a nawet drugiego niepodobna już otrzymać żadną dawką. Nareszcie okres piąty — ostatni — to śmierć z zatrucia.

Zapytacie, ciekawi lub chorzy czytelnicy, w jakich dawkach używać i jak długo można stosować morfinę? Otóż, w zwykłych okolicznościach u ludzi nieprzyzwyczajonych, lekarze stosują po $^1/_6$ grana, a najwyżej po $^1/_4$ naraz; morfiniści zaś dochodzą do jednego, do dwóch, do trzech, a nawet do pięciu *gramów* (nie granów) dziennie, a że gram liczy 16 granów, przeto zażywają oni dawkę o 320 — 480 razy większą nad przepisaną w medycynie.

Trują się w ten sposób przez kilka lat, od trzech do pięciu; jednakże zbyt wielkie dawki (pół grama dziennie i wyżej) już po kilku miesiącach zatruwają organizm. Zwykle chorzy zaczynają od bardzo małych, lecz w miarę przyzwyczajenia się powiększają je, aby tylko wywołać stan nirwany, lub podniecenia wesołego. W ten sposób po upływie roku dochodzą do jedno-gramowej dawki dziennej. Pomimo ciągłego zażywania morfiny, człowiek od czasu do czasu doznaje cierpień zwykłych w okresie odzwyczajania się, a to z tego względu, że pełna dawka morfiny działa najdłużej przez ośm godzin, a już po pięciu godzinach występują objawy i cierpienia okresu wstrzemięźliwości.

Jak powiedzieliśmy, użycie środków podniecających stało się koniecznością w obecnych czasach; bierze je chłop, nadmiernie naprężający swe mięśnie, bankier, denerwowany ciągłą troską o zwyżkę lub zniżkę marek i rubli, artysta, literat, mąż stanu, nadmiernie sercem lub głową pracujący.

---

w sąsiedztwie, wszystko to stoi wyraźnie w ich pamięci. Dopełniają ustnie to, co niedopowiedziane. Przypominają sobie mnóstwo niezamieszczonych w pamiętniku szczegółów. Cały wieczór bawią się echem dawnych czasów. Przy kolacyi rozmawiają o nich. Po kolacyi kończą parę niedoczytanych jeszcze kartek. Staś ożywia się. Wpada na temat swych ulubionych myśliwskich anegdot. Opowiada je z humorem, gestykulując żywo.

Ona słucha go z przymrużonemi oczyma, leżąc na kanapie.

Gdy się zatrzyma na chwilę, woła: „mów, mów dalej!“

W czasie opowiadania cały szereg myśli przebiega jej przez głowę.

Pojadą tego roku na pewno na wieś do matki. Staś nauczy ją strzelać do celu, kupi jej małą, lekką dubeltówkę: będą chodzili razem na polowanie.

Będą jeździli konno na cały dzień do lasu.

Wśród marzeń tych zasypia tak mocno, że nie czuje, jak Staś na rękach przenosi ją do sypialnego pokoju i kładzie na łóżku.

Machinalnie pomaga mu przy rozpinaniu haftek i guzików; sama nie wie, kiedy wsuwa się pod kołdrę.

Całą noc śpi twardo; nic ma żadnych snów. Rano budzi się zupełnie rzeźwa. Dlaczego? Sama nie wie. Ból głowy przeszedł. Nie doznaje znużenia tak, jak wczoraj. Przeciwnie, czuje w sobie energię, siłę i zdrowie, jak zwykle po kilku dniach, w ciągu których „się obiera.“

Całuje Stasia, pieści go, przytula się do niego, jak kotka, mówiąc: „lubię ciebie bardzo!“

Po jego wyjściu podczas ubierania się robi ze sobą ścisły i trzeźwy rachunek.

Wstyd jej wszystkich swoich przelotnych, bezpodstawowych planów. Musi raz wyjść z zaklętego koła marzeń, dziś tak gorąco pożądanych, jutro—niepochwytnych. Brzydzi się sobą. Już blizka jest wczorajszego pesymizmu; siłą woli otrząsa się z niego.

Staś mówi nieraz: „umiejętność życia polega na wyzyskaniu dla własnego szczęścia wszystkich warunków *możliwych*. Chcesz pracować — pracuj w zakresie, jaki jest dla ciebie dostępny; chcesz się bawić—baw się, o ile ci na to pozwalają środki. Nic po nad to. Nie sięgaj po to, co za bardzo oddalone.“

Gniewają ją umiarkowane, przesiąknięte doświadczeniem teorye męża. Jeżeli je stosuje doniej, mówi zawsze: „on mnie nie rozumie, on mnie nie zrozumie nigdy!“ i płacze.

Dziś jednak mimowoli zastanawia się nad niemi.

Poprawiwszy po raz ostatni grzywkę przed lustrem, przypiąwszy odstającą na dole fałdę spódniczki, każe przyprowadzić do siebie dziesięcioletnią córeczkę stróża, którą już kiedyś trochę uczyła.

Rozpocznie z nią lekcye na nowo i teraz musi je przeprowadzić do końca sumiennie.

Cały dzień pracuje gorliwie. Dwie godziny męczy się z niepojętną Stasią, którą obdarza mnóstwem książek i kajetów. Od południa do obiadu czyta głośno z przyjaciółkami „O inteligencyi“ Taine'a, rozbierając każdy wyraz, wypisując ważniejsze a mniej zrozumiałe ustępy, robiąc wreszcie ogólny wyciąg z rozdziałów.

Gdy Staś przychodzi, wita go z radością. Opowiada mu treść ostatnich kilku godzin; wymienia zapowiadające się na dzień następny zajęcia.

Czuje zupełny spokój. Na nic nie narzeka. Bólu głowy nie pamięta. Kręcąc się po pokoju, całując Stasia, poprawiając obrus, krzywo położony na stole, nuci półgłosem walca Moszkowskiego. W nerwach krąży zadowolenie. Jest zupełnie szczęśliwa. Nie pragnie innego życia.

Staś odpowiada jej pocałunkami na pocałunki. Cieszy się z nią razem.

Na ustach jednak drży mu pytanie: „czy długo tak będzie?“, którego nie wypowiada.

Cecylia Walewska.

Zachodzi tylko różnica co do gatunku narkotyków. Dla jednego rolę tę gra siwucha, dla innego kawa, dla trzeciego wino szampańskie, lub — arystokratka używek — modna morfina. Wszystkie działają jednako: z początku w małej dawce podniecają, w większej zaś odurzają, a po ustaniu działania swoistego pozostawiają system nerwowy w stanie przygnębienia, koniecznie wymagającego nowej podniety, świeżej dostawy trucizny. Codziennie zwiększa się walka i sprzeczność między naszą wolą, a przymusem okoliczności zewnętrznych, między ideałem dążeń a rzeczywistością, między wykształceniem a pozycyą zajmowaną, między materyalnem położeniem a potrzebami duszy i ciała. Coraz silniej odczuwamy biedę materyalną, ucisk moralny, coraz mniej mamy wytrwałości do zniesienia tego stanu, przeto coraz częściej szukamy pociechy w narkotykach. Morfina działa przeważnie na nerwy dośrodkowe (idące do mózgu) i wydzielnicze. Pod jej wpływem przykre wrażenia zewnętrzne tracą na sile i nie dochodzą do świadomości mózgu; na tem polega kojący jej wpływ przy rozmaitych bólach, lecz prócz tego anestezya ta rozprzestrzenia się również na wyższe ośrodki nerwowe — na sferę wyższych uczuć, a morfinista staje się egoistą o biernym umyśle, wyschłem sercu i apatycznych nerwach. Działa w nim jedynie despotyczne „ja,“ a w razie naruszenia tego samolubstwa powstaje drażliwość i najwyższa gniewliwość.

W dalszym ciągu osłabia ona pamięć obecną i dawniejszą, paraliżuje wolę, zmienia więc charakter osobistości. Morfiniści stają się następnie tchórzami, hypochondrykami, dbałymi jedynie o własne wygody, o własny spokój i swobodę. Charakter do tego stopnia ulega zepsuciu, że chętnie wciągają w sidła własnego nałogu innych, pociechą bowiem dla nich posiadać jak najwięcej współtowarzyszów niedoli. Pod względem fizycznym również zachodzą zmiany; skóra staje się nieczułą podczas upojenia, a po tem nadmiernie na zimno wrażliwą; morfinista lubi tylko ciepło, unika kąpieli zimnych. Błony mało wydzielają śluzu, stąd suchość ich; żołądek mało wydziela soku, stąd złe trawienie i zaparcie; smak i powonienie słabną, czynności płciowe tracą na energii, puls mdleje, serce powiększa się, lecz nie działa z należytą siłą, skutkiem czego ciało ziębnie, skóra i błony śluzowe bledną.

Wykształceni morfiniści doznają w epoce wstrzemięźliwości napadów sentymentalnych, poetycznych, o ile mogą, ukrywają przed otoczeniem swój stan, obawiają się początków obłąkania, upadają na duchu, nadrabiając jedynie miną i maskując chwilową brawurą — brak rzeczywistej odwagi i spokoju umysłu.

Odzwyczajeniu się od morfiny towarzyszy długa litania cierpień, t. zw. abstynencyjnych, których uniknąć niepodobna przy żadnej metodzie, nawet przy użyciu środków zastępczych lub przeciwnych; do pierwszych należą napoje wyskokowe, do drugich atropina, kokaina, chlorek i inne.

O tych objawach wypada nadmienić słówkiem. Przy nagłem porzuceniu morfiny powstają trzy okresy: neurastenii ostrej, chronicznej i rekonwalescencyi. W ośm godzin po ostatniej dawce morfiny zaczynają chorzy cierpieć, domagać się jej, płakać, jęczeć, szlochać, gniewać się, rwać włosy i ubranie na sobie, tarzać się po ziemi.

Praca umysłowa, perswazya, uspakajanie dobrocią — na nic się nie zda; ziewają raz po raz, kichają ustawicznie, czują zmęczenie w całem ciele, palenie w grzbiecie i krzyżu, suchość w ustach i w gardzieli, gniecenie w żołądku, doznają mdłości i wymiotów, silnych rozwolnień. Niepokój ich zwiększa się z każdą chwilą, a ten stan burzy trwa 5—8 godzin, łamiąc człowieka, niszcząc resztkę jego woli, upadlając do ostatka charakter, czyniąc go niepoczytalnym.

W dalszym ciągu (następne dni) chory jest moralnie przygnębionym, myśli jego rozstrzelone, uczucia przeinaczone, mowa niewyraźna, charakter pisma zmieniony, źrenice rozszerzone, słuch i powonienie do najwyższego stopnia rozdrażniono, mięśnie osłabione, skóra nadmiernie wrażliwa. Wszystko go boli, ustać przez chwilę nie może, ręce mu drżą, głowa cięży. Organy wydzielnicze z wyjątkiem sfery płciowej działają obecnie silniej niż normalnie. Wreszcie u wielu pacyentów w tym czasie występuje zapaść (kollaps) czyli zupełna utrata sił, upadek działalności serca, grożący śmiercią. Natychmiastowym ratunkiem w takiej chwili jest jedynie mała podskórna dawka morfiny. Zapaści obawiać się wypada między trzeciem a szóstym dniem odzwyczajania. Następnie zjawiają się t. zw. napady nerwowe; morfina krążąca dotychczas w tkankach i sokach opuszcza je, a każde włókno nerwowe, każda komórka czuje ten brak, cierpi i reaguje. W każdym mięśniu chory czuje ból, palenie, prężenie, skóra staje się to zimną, to gorącą, nogi drżą, kręgosłup wrażliwy na najmniejsze dotknięcie, sfera uczuć i myśli zajęta tylko własną osobą, hysterya i hypochondrya, a nawet przejściowe obłąkania trapią chorego, który w tym czasie jest tak przybitym, tak niepoczytalnym, tak morfiny łaknącym, że gotów dla niej poświęcić wszystko, nawet życie i honor.

Te napady trapią po 3—8 godzin, najczęściej w nocy. Zapaść, lub śmierć samobójcza przecina je niekiedy, a chwilowe przerwy pomiędzy napadami są skutkiem wyczerpania. Przez pierwsze 10—14 dni postu trapi chorych bezsenność, tylko na chwilę zasypiają oni, gdy do ostatka są już wyczerpani.

Po pierwszych pięciu dniach główne cierpienia i niebezpieczeństwo już minęły, pozostaje bezsenność, drażliwość i przygnębienie, cechujące okres chronicznej neurastenii, trwający 3 — 8 tygodni; potem przychodzi rekonwalescencya, podczas której chory już nie łaknie morfiny, ma nawet wstręt do niej i jest przekonanym, że nigdy jej nie użyje. A jednak w tym czasie najczęściej przytrafiają się recydywy! Pozornie wyleczony znajduje się bowiem w stanie rozdrażnienia, a także osłabienia woli, braku odporności; wobec więc najmniejszych przeciwności odczuwa je głęboko i łacno na nowo ucieka się do szprycki z morfiną, jeszcze raz zaprzedając demonowi swe ciało i umysł.

Okres rekonwalescencyi trwa od trzech miesięcy do dwóch lat! Nie trzeba więc zawcześnie cieszyć się, usuwać chorego z pod nadzoru i przerywać leczenia. W okresie tym doznaje on od czasu do czasu drżenia w mięśniach, palenia w kończynach, ogólnego niepokoju, rozstroju myśli i uczuć. Jednocześnie ma ogromne pragnienie, wypija olbrzymią ilość wody. W okresie tym powraca siła płciowa, nieraz w stopniu nadmiernym.

Rekonwalescent morfinista odznacza się niezwykłą wrażliwością i uległością uczuciom sentymentalnym, podnietom artystycznym, marzeniom poetycznym, natomiast w sferze myśli nie posiada jeszcze hartu, ani systematyczności. Organizm wymaga pewnych podniet, a szczególniejsza skłonność popycha go ku napojom wyskokowym, których może znieść niepomiernie wielkie ilości; stąd obawa, aby z byłego morfinisty nie powstał—pijak. Gdy i temu wrogowi zwycięzko czoło stawił—staje się na nowo człowiekiem zdrowym, świeżym, normalnym, nawet lepszym i dojrzalszym, niż poprzednio. Kto przeszedł przez piekło tego postu, przez czyściec wyzdrawiania, temu życie wydaje się — boską komedyą, a powrót do zdrowia — rajem.

Wobec tylko co opisanego zatrucia i zdrowienia widzimy, że nałóg ten jest do wyleczenia, że w przebiegu choroby grożą trzy najgorsze możliwości: zapaść, śmierć samobójcza i recydywa. Ta ostatnia zdarza się najczęściej; z lekarzy morfinistów 90% pada ofiarą recydywy, z oficerów 75%; to też towarzystwa ubezpieczające na życie nie przyjmują kandydatów, którzy kiedykolwiek byli morfinistami. Recydywa tem jest niebezpieczniejszą, że nałogowcy przekładają rychłą śmierć nad nowe, a tak straszne przejście postu.

Wobec tak groźnego znaczenia morfinizmu, obowiązkiem lekarzów i rządów jest zapobiegać szerzeniu się tego nałogu, a zatem zabronić sprzedawania środków podniecających i narkotycznych, zachwalania ich w pismach publicznych, obłożyć je wysokim podatkiem, a bodaj ująć w monopol gorzelnictwo, ułatwić warunki zarobkowania, słowem, poprawić położenie ekonomiczne całego narodu.

Jakież leczenie morfinizmu, jakaż broń przeciw tak strasznej namiętności? Jedynym i najlepszym środkiem jest usunięcie morfiny. Metoda zastępcza, stosująca zamiast niej inne trucizny (kokainę, chloral itd.) nie prowadzi do celu i jest zgoła nieracyonalną. Chorego morfinistę najlepiej będzie umieścić w zamkniętym zakładzie leczniczym, gdyż ciągły, pilny i umiejętny nadzór jest głównym warunkiem wyzdrowienia. Zakład d-ra Lewinsteina w Berlinie, w którym odrazu usuwają morfinę, jako też zakłady dr. Erlenmeyera w Bendorfie nad Renem, gdzie powolnie zmniejszanemi dawkami morfiny odzwyczajają od niej, słuszną cieszą się popularnością w kołach lekarzów i chorych. Usługa tam jest żeńska: przekonali się bowiem dyrektorzy, że tylko cierpliwość, dobroć i słodycz rozsądnej kobiety zdolne są oprzeć się wybuchom morfinistów i nie poddać się kuszącym propozycyom przekupstwa w celu tajemnego dostarczania trucizny; a wadę tę posiada nieraz męzka usługa.

Najlepszym sposobem kuracyi ma być nagłe usunięcie morfiny sposobem Levinsteina, zmodyfikowane przez Averbecka i innych.

U ludzi, którzy całymi gramami zażywali morfinę, odrazu zmniejsza się dawkę do jednej dziesiątej, używanej dotychczas ilości dziennej, a tę część dziesiątą dzieli się na trzy, zadając je co ośm godzin. Po ośmiu dniach dawkę zmniejsza się ponownie, do 0.01—0.03 grama co 8 godzin, czyli do jednej setnej dawniejszej ilości. Następnie odstawia się morfinę w zupełności: wnet zaczynają się objawy neurastenii. Dla zapobieżenia zapaści daje się w pierwszych sześciu, najgorszych dniach $1/_{10}$—$1/_{40}$ dawnej dziennej dozy, i to tylko raz na dobę, około godziny dziesiątej, wieczorem. Natomiast nie szczędzić choremu wina, a szczególnie szampańskiego. Obok usunięcia morfiny stosują dwa razy dziennie kąpiele ciepłe (27—30°R.) przez kwadrans, a następnie oblewania wodą letnią wzdłuż kręgosłupa. Gdy apetyt powracać zaczyna, czwartego—ósmego dnia, podniecają ciało chorego masażem, potem przechodzą do kąpieli chłodnych. W okresie rekonwalescencyi, w 3—5 tygodni po ostatniem użyciu morfiny, posyłają chorego do zakładu wodoleczniczego, w pięknej górzystej miejscowości.

Uzdrowiony powinien na całe życie wyrzec się morfiny, opium; nietylko bowiem pierwsza szprycka ponętnego roztworu, lecz nawet pierwszy do wewnątrz użyty proszek tej trucizny może na nowo wzniecić nałóg i sprowadzić groźną, nieraz nieuleczalną już recydywę. Przeto *principis obsta!*

Dr. Berski.

LITERATURA I SZTUKA.

SEKTA ESTETYCZNA.

II.

Znakomici pisarze na podobieństwo ciał niebieskich miewają swoje zaćmienia. Pomiędzy nich a wzrok spostrzegacza wkrada się planeta i przesłania mroczną swą sylwetką światło, do którego śmy nawykli.

Takim autorem, kryjącym się raz po raz za cienie innych globów jest Bolesław Prus. Przejrzystą logikę jego nakrył w całości prawie umysł p. Witkiewicza, i oto ujrzeliśmy ciekawe zjawisko: Dokoła czarnej masy nieświadomych i pół-świadomych dogmatów zrzadka wyzierają okrawki czerwonego światła — to protuberancya założdwie twórcy *Placówki*.

Gdyby ktokolwiek wątpił o prawdziwości porównania, niechaj przed sobą rozłoży *Wędrowca* z r. 1885 i zestawi *Malarstwo i krytykę u nas* z treścią Prusowych fejletonów. Z niedowierzaniem potrząsając głową, znajdzie w obszernej owej odpowiedzi na idealistyczne zrzędzenie prof. Struvego, pierwowzór, nie — poprostu *oryginał* fantasmagoryj, snutych na rachunek estetyki przez utalentowanego powieściopisarza-humorystę...

Gdyby więc istniało publiczne forum do spraw sztuki, pozwanym przed nie musiałby być, jako winowajca główny, p. Witkiewicz. On pierwszy uderzył w huczący dzwon zaściankowego realizmu. On pierwszy zanucił estetyczną *Marsyliankę* i wzniósł barykady, ażeby z ich wysokości bombardować zatęchły klasycyzm.

Dużo ztamtąd padło celnych strzałów, pod którymi arcykapłani urzędowej krytyki wili się i szamotali, jak muchy w ukropie. Cała robota negatywna, rewolucyjna p. Witkiewicza, przyniosła swoje owoce, albowiem ośmieszyła należycie tych wszystkich, co „na podobieństwo dawnych bizantyków, wszędzie wietrzą symbol", dla których „sztuka jest tylko zbiorem hieroglifów, rebusów, zawierających „dla wprawnego oka (prof. Struvego i jego drużyny) treść głębszą, filozoficzną i historyozoficzną."

Gdy dzisiaj z odległości lat trzech, momentu wobec wieków, ale całego okresu w dziejach naszych pojęć o sztuce, patrzymy na owe modlitwy i przewracanie oczyma spekulatywnych estetyków, na ich tajemnicze formułki o syntezie, moralnem posłannictwie sztuki, przejmuje nas zgroza, uczucie obrzydzenia i żałość, że się ten cały szlendrian niemieckiej uczoności po dawnemu wlecze i jak słusznie określa pan Witkiewicz, odgrywa rolę piasku z worków, osłabiającego zderzenie się idealizmu z realizmem.

Tylko, że dzielny ten artysta zamiast ograniczyć swoje zadanie, i skończyć na burzeniu fałszywych bogów, zamiast wypowiedzieć to, do czego upoważnia i zmusza sam instynkt człowieka, silnie przejęte ideą, zapragnął stanąć na świeczniku teoryi, i rzeszy malarskiej podyktować z tego Synaju dziesięcioro przykazań.

Lecz rąbać i budować, to dwie rzeczy różne; gdy więc opuścił pole szermierki, gdzie można harcować swobodnie na dzierskim swoim temperamencie, a wszedł na tę śliską posadzkę z marmuru, która się nazywa rozumowaną estetyką, teoryą sztuki, lub jak kto chce, wnet rozpoczął się prawdziwy „taniec wśród mieczów", zabawka niebezpieczna dla nie niepowołanych a szkodliwa dla sztandaru, pod którym się stanęło.

Oto dowody:

„Malarstwo ma środki tylko na wyrażenie pewnego momentu natury, leżącego w granicach *formy i barwy*. Cała zaś głębsza treść historyczna, przyczepiona do obrazu, dopowiada się zwykle w podpisie, w objaśnieniu książkowem, czyli, że dla wyjaśnienia jej potrzeba posiłkować się inną sztuką, niż malarstwo."

„Historya sztuki ciągle dowodzi, że temat, przedmiot, nie wpływa bynajmniej ani na charakter ani na wartość dzieła sztuki" bo „wartość w malarstwie zależy od doskonałości barw i kształtów."

Wszystko co stanowi duchową treść obrazu w języku p. Witkiewicza nosi miano „tendencyi ubocznej", przyczem widoczną jest skłonność do rozciągnięcia tego nowego pewnika, i na inne dziedziny sztuki, np. na muzykę. Jak bowiem „historyozoficzne frazesy", wcielane w malowidła przez Kaulbacha, tak samo i Wagnerowska chęć ugruntowania nowych religij, są po prostu „zboczeniami talentu".

Nawiasowo poprosimy czytelnika, ażeby raczył porównać estetyczne *credo*, przytoczone tutaj, z wyznaniem wiary Bolesława Prusa. Oprócz korzyści uwolnienia się zawczasu od przewidywanego zarzutu, iż niesprawiedliwie odmawiany temu ostatniemu oryginalności w doktrynerskich pomysłach, osiągniemy i tę, że każdy przekona się, jak cało i nietykalnie przetrwał katechizm p. Witkiewicza do dnia dzisiejszego, jak skutecznie można zahypnotyzować odważnym frazesem na lat parę najtrzeźwiejsze nawet mózgi, jak wreszcie palić musi każdego wroga sekty — żądza wydobycia siebie i innych na widownię szerszą.

Zanim wysiłek w tym kierunku uczynimy, przeciwstawiając encyklice papieskiej p. Witkiewicza próbkę teoryi z jaką taką choćby podstawą filozoficzną lub psychologiczną, wyciągnijmy konsekwencyę z prawd, objawionych ongi w *Wędrowcu*.

Ażeby ujaskrawić myśl, iż malarstwo dziejowe organicznie choruje na brak zrozumiałości, p. Witkiewicz przypomina ciekawy fakt: W r. 1867 na wystawie paryskiej, francuzi oglądając *Rejtana*, wzięli bohatera obrazu za posła tureckiego, wyrzuconego za drzwi przez magnatów polskich. Takie „pikantne" argumenty mają władzę obałamucania gawiedzi, ale co najciekawsze, sam autor dał im się otumanić. Jeżeli kto nie wierzy, niech najnowszy obraz Gierymskiego *Trąbki* zawiesi przed... paryżaninem albo, dajmy na to, zadomowionym jakim bretończykiem, który nie znając wschodu, ani krajów słowiańskich, nie widział żydów chałatowych, nie słyszał o ich mechanicznych modlitwach, rudawych brodach, garbatych nosach, chustkach opasujących biodra. Co się wówczas stanie z jednym z najcelniejszych epizodów wyśmienitego płótna? Czy da o nim wiadomość podpis na ramach albo nawet objaśnienie na wołowej skórze? Czy odczuje kto całą typowość i realizm postaci, stojących nad brzegami Wisły? Nawet doświadczony znawca — nie, w najlepszym razie pozna, że twarze, figury i sukuie są pysznie malowane, prawie rzeźbione, ale gdzie się podzieje cała wartość „artystycznej, kolorowanej fotografii". *Trąbki* zadziwią wypukłością, perspektywą, cudownem światłem wody i widnokręgu, ale nie prawdziwością. Obcokrajowiec pomyśli może, ujrzawszy oryla, że ma przed sobą eskimosa? A zaręczam, że takich nieporozumień nie brak.

A więc i przeciw malarstwu realistycznemu wystawić można „pikantne" argumenty; doprawdy nawet w większej liczbie, niż przeciw historycznemu. Scena z dziejów jest zawsze prawie momentem dramatycznego napięcia, lub pysznej uroczystości. Tkwi w niej rdzeń ogólnego piękna, dostępnego dla wszystkich, podczas gdy malarstwo rodzajowe, czy realistyczne, odtwarzając kształty i przedmioty konkretne, ściśle określone, związane z miejscem i danem otoczeniem, dla innych miejsc i innych ludzi pozostaje niewylegitymowanem ze swej zgodności ze światem rzeczywistym.

Ze wszystkich niedorzeczności, jakie obiegały kiedykolwiek państwo krytyki, wymaganie przedmiotu bezwzględnie zrozumiałego, jest bezsprzecznie największą. Uderzmy się w piersi, my wszyscy, sławni malarze i rysownicy, i powiedzmy: czy rozumiemy piękno Wenery Milońskiej, sfinksów egipskich, piramidy Cheopsa lub *Pieśni nad pieśniami* z jej apoteozą brzucha, pępka, nóg i bioder. Uderzmy się w piersi, my wielcy rzeźbiarze, modelujący parę mazurową, lub starą pannę z pół tuzinem piesków na kolanach, czy pojmujemy kolosalnego ducha, co rozpiera *Mojżesza* Michała Anioła, choć... choć odczuwa go każdy poeta.

Bolesław Prus chciał przyjść w pomoc p. Witkiewiczowi i wymyślił jeszcze dowcipniejszą procę: „malarstwo historyczne powstało ze schlebiania starym rodom!"

Znam tylko jedną odpowiedź na to: podobno człowiek powstał z małpy, a jednak stworzył genialnego Darwina? Ale Prusowi nie o rodowód chodzi, a o żyjącą, stałą cechę, albo raczej stałą historycznego rodzaju wadę: że ma posłannictwo czysto kastowe.

Przyznaję, iż temu twierdzeniu zawdzięczam rozwiklanie wielu niejasnych przeczuć i domysłów. Patrząc np. na *Śmierć Cezara* Pillotego, zaczynam wierzyć w „intrygę polską", któż bowiem, jeśli nie pankowie galicyjscy, ze szczególnym uporem wywodzący Sarmacyę od Romy, mógł natchnąć profesora monachijskiego myślą wskrzeszenia senatorów na płótnie? Któż jeśli nie on skłonił Jana z Bolonii (w epoce odrodzenia) do wykucia grupy *Porwanie Sabinek*?

Ciekawa jednak rzecz, czy Bolesław Prus stanąwszy przed oryginałem *Thusneldy w pochodzie Germanika*, albo *Karola V wjeżdżającego do Antwerpii*: rozkoszowałby się, nimi czy też gryzł narodowemi antypatyami i wylewał gorzkie żale socyologii?

Śmiem wątpić, czy p. Witkiewicz jest zadowolony z tych posiłków; nie sądzę też, by chciał kiedykolwiek skorzystać z taktyki, jakiej używa zwiastun „polskiej szkoły malarstwa" w napaści na obrazy religijne.

Na nią oburza się chyba sumienie zawodowego artysty, który własnemi oczyma patrzał na dzieła włoskiego geniuszu i pewno je podziwiał. Nie potrafi on pewnie wzorem dyletantów rzucać w jeden wspólny dół: ultramontanizmu i stańczykowskiej ciasnoty Matejki, który z malarstwa robi misyę *de propaganda fide*, z Leonardem da Vinci, Fra Bartolomeem, Peruginem, Michalem Aniołem, Rafaelem, Andrzejem del Sarto, Murillem, Rubensem, Tycyanem, dla których idea religijna była jeno sposobnością do wcielenia w materyę estetycznej grozy *Sądu ostatecznego*, czystości *Świętej rodziny*, ekstazy *Wniebowzięcia*, elegii *Złożenia do grobu*, bosko tkliwego i czarującego macierzyństwa *Madonny sykstyńskiej* itp.

Do tego rodzaju niwelacyi p. Witkiewicz nie posiada zdolności. Czyż to znaczy, że jako teoretyk otwiera widnokręgi szersze? Broń Boże! Jako malarz nie może dumnie stąpać po głowach tych, których sławy jeszcze nie dorósł, ale jako estetyk i fanatyk kierunku znajduje sobie inną kapliczkę, duszną i nudną, gdzie radby zamknąć na cztery rygle i sztukę samą i krytykę, głosząc, iż „temat i przedmiot nie wpływa bynajmniej na wartość dzieła sztuki."

Na takie *dictum* odpowiedzi nie znajdzie żadna żywa istota, bo „w języku śmiertelnych nie ma na to głosu." Nie pod adresem też p. Witkiewicza, wyższego prawdopodobnie nad skromne bluźnierstwo tych, co wzdragają się klęknąć przed jego nieomylnością, ale do ogółu wykształconego zwracać się powinny wszelkie protesty. Ujmę je w formę zapytań:

Czy p. Witkiewicz, portretując charty angielskie, wyżły, pinczery, duńskie dogi, konie wyścigowe, osławione na naszym torze, „piękną Helenę" *vulgo* maciorę olbrzymią,

nagrodzoną na wystawie inwentarza, słowem to wszystko, co stanowi sferę empirejskiego nieba dla naszej arystokracyi, zamiast Sulimierskiego, Odyńca, zamiast widoków tatrzańskich, Połągi i morza — byłby tem, czem jest, znakomitością, malarzem poetą, nawskróś męzkim, jędrnym i indywidualnym?

Czy Gierymski, przedstawiając zamiast piaskarzów — oficyalistów towarzystwa asenizacyi przy robocie, albo też operacyę zdzierania skóry ze zdechłego psa przez rakarza — ściągałby przed płótna swoje tłumy widzów?

Czy Fałat, biorąc za temat do świetnych swych akwarel, zamiast łowów na niedźwiedzia w nieświezkich matecznikach — polowanie na jakiekolwiek pasorzyty ludzkie — miałby odwagę i prawo objeżdżać Europę i czy ta Europa wieńczyłaby go laurem?

Czy Brandt byłby wielbionym, gdyby zamiast ukraińskich mołojców i rozhukanych biegunów, gnanych stepową wichurą, brał za motyw dla swych płócien regularne szeregi dońców, jadących stępa?

Czy wszyscy oni, poświęciwszy owym proponowanym przezemnie tematom artyzm w wykonaniu podwójny, zajmowaliby ten szczebel w hierarchii sztuki polskiej, jaki zajmują rzeczywiście?

Zapytajcie cieniów Pawła Werończyka, dla którego *Godów w Kanie* tysiące zjeżdżają do Luwru, zapytajcie fantastę Salwatora Rosę, zakochanego w widmach *Samuela* i *Saula*, czy inne pomysły o skali drobniejszej i nie tak uniwersalnej, nie postaciujące mitów, legend i poezyj, zrozumiałe dla wszystkich, byłyby również zdolne natchnąć ich pędzel tem samem mistrzowstwem kolorytu, przykuć na tyleż lat do stalug? Niechaj nam odpowiedzą popioły Rembrandta, czy oddałby swoje głowy żydów za *Miłosiernego samarytanina* lub *Archanioła Rafaela i Tobiasza*.

Jeżeli się znajdzie ktokolwiek, co na te pytania da odpowiedź twierdzącą — ja zgodzę się, że konsekwencye, z dogmatów naszej sekty artystycznej przeze mnie wyciągnięte, a wiodące *ad absurdum*, nie płyną z nich naturalnie, lecz drogą sofizmatu.

Cezary Jellenta.

POEZYA.

JAROSŁAW VRCHLICKY.

PERSPEKTYWY.

II.

Linkeus i Hypermnestra.

. . . .

Weselna komnata Hypermnestry. U stropu płonie lampa. Hypermnestra pogrążona w zadumie. Z zewnątrz coraz słabiej, a słabiej, brzmią strofy weselnego peanu.

Chór.

Jo!.. Hymeneel.. Pstre wstążki z warkoczy
I pas rozwiążcie jej! Niech na poduszki
Legnie kwiat ciała liliowy, uroczy.
O, nie płaczcie jej, drużki,
Raczej zazdroście! Już czas, by pieszczoty
Spadły jak motyl niecierpliwy, złoty,
Na piękną nagość, na spuszczone oczy!
. . . .

(*Wchodzi Danaos*).

Danaos.

Hymn już dobrzmiewa. Noc zapada chmurą.
Ty ciągle w myślach pogrążona, córo?
Chwila już tylko, a w gmach ten przebojem
Mąż się dobędzie, i na łonie twojem
Spocznie zdradziecka barbarzyńcy głowa...
Bogowie z tobą, córko! Bądź gotowa,
Zbawienie nasze w twoich ręku leży...
Wiem, żądza, rumak, co bez uzdy bieży,
Ledwo go w cwale zdzierży męża ręka.
Lecz dziś — o dziecię! jaki żal mnie nęka—
Lecz dziś, o wonny kwiatku niedotknięty,
Zdzierżeć go musisz ty, i los przeklęty
Odwrócić od nas! Czerp siłę w mem słowie:
Gdy egipcyanie, jak dzicy wilkowie
Wtargną tu, wiodąc męża, który pała,
Wszak wiesz, co czynić, różo moja biała?
Nie skrywać tobie ocząt rzęsów chmurą,
Nie drżeć, nie płonąć na twarzy purpurą,
Nie ściągać dłoni do pieszczot, nieboże,
Nie iść za mężem, gdy ciągnie na łoże,
Nie chwiać się cała jego upojeniem,
Lecz nóż ten silnem wrazić mu ramieniem
W dyszącą szyję!

Chór.

O, niech lecą naostatek
Na łono twoje róże z naszych dłoni!
Niech cię Afrodyta chroni!
Łono twe wonią tchnie, jak rajski kwiatek,
Z niem szczęśliwemu niebo się przykloni!
. . . .

Danaos.

Zapomnieć musisz, żeś jest białogłowa...
On lada chwila przyjdzie, bądź gotowa.
Nóż wyostrzony; ostrzyłem go długo.
O gdybym sam mógł... Jakbym go wbił! [Strugą
Gorącą, jasną, krew by w błękit strzykła!

Chór.

O różo młoda, patrz, abyś nawykła
Do pocałunków! Rzuć bojaźń, co niesie
Dreszcz chłodny z sobą. Bądź jak ptaszę [w lesie,
Który nie pyta w gniazdku o poranek.
Idź! Hymen z tobą, i noc, i kochanek!
Pieśń moja — łabędź w morzu szczęścia [twego...
. . . .

Danaos.

Nie waż się bez szat stanąć oczom jego!
Jak tylko wnijdzie, bierz nóż! Jak tknie [ciebie —
Bij!..

Chór.

Nie taki nektar bogom leje w niebie
Młodzieńcza Hebe, jaki będziesz piła
Ty, z ust kochanka, w cieniu twej kom- [naty!
Kwiaty ci rzucam, kwiaty...

Pojedyncze głosy.

...Kwiaty! Kwiaty!..

Danaos.

Odchodzę, córko. Już gdzieś zaświeciła
Pochodnia. Idzie wesele czerwone...
Już wszystkie siostry twoje nauczone...
A bądź mi silna, rzuć strachy dziewczęce!
Tyś jest ostatnia, której składam w ręce
Rodu całego byt i losy z władzą.
Siostry twe ledwo mieczowi poradzą.
Idzie... Zgaś światło! Nóż weźmij do ręki...
Bij po omacku, a bij z całej mocy!
Słychać już kroki... już peanu dźwięki
Konają w dali... Córko, dobrej nocy!

Chór (w dali).

Chciałbym tak z tobą śnić aż do rozświtu...
. . . .

Danaos się oddala. Hypermnestra stoi bez ruchu, pogrążona w zadumie. Po chwili wchodzi Linkeus. Hypermnestra rzuca się na niego z nożem. Linkeus wyrywa jej nóż, odrzuca go i ciągnie ją do siebie.

Linkeus.

Tegom nie czekał, moja gołębiczko!
Szukam, gdzie pierś twa pełna, gdzie twe [liczko,
A ot, co trafiam! Nóż — i zamach mściwy.
Czy to jest miłość? Nie byłem jej chciwy,
Gdym próg przechodził, lecz teraz — [gorеję...
Pojdź!.. (*nasłuchuje*).
...Jaka wrzawa! Co się to tam dzieje?

Głosy z zewnątrz.

Biada! O biada!.. Krew! O biada! Zdrada!..

Linkeus.

Kto ciebie mordu uczył?.. taka młoda!..
Lecz pocałunków uczył mistrz nielada.
Ha!.. Znowu krzyk ten!
(*Chce wybiedz. Hypermnestra go wstrzymuje*).

Hypermnestra.

Stój! Żadna przygoda
Nie grozi tobie! Tyś zbawion, mój drogi!

Linkeus.

A więc mnie kochasz? Zaraz to poznałem...

Hypermnestra.

Więc mi przebaczasz? Prawdaż to? O bogi!

Linkeus.

Znów krzyk i jęki na podsieniu całem...
Ktoś biegnie... pada... ktoś woła na trwogę...
Po całym gmachu rośnie wrzawa dzika...

Hypermnestra.

Twym pocałunkom oprzeć się nie mogę...

Linkeus.

Czegom uniknął — braci mych spotyka.

Hypermnestra.

Twe usta — płomień! Czuję w nich żądz [boje...
Jako centaura moc jest twoja siła...
Czy chcesz naprawdę, żebym twoją była?

Linkeus.

Nad grono winne słodkie łono twoje...

Hypermnestra.

Niech nas ogarnie noc, wszechstworzeń [matka...

Głosy z zewnątrz.

Łaski! Ratunku! O biada mi!.. Biada!

Linkeus.

Ty moja! Cóż mi bój jaki, czy zdrada?
Ja czarę moją chcę pić do ostatka..
Niech przyjdą wszyscy! Ojciec twój... [świat cały!

Danaos (wchodzi).

Córko, skończone. Córko, to noc chwały!
Podstępem my się zbawienia dobili!
(*Linkeus podnosi nóż z ziemi i zbliża się chyłkiem ku Danaosowi*).

Hypermnestra.

Stój! Stój!

Linkeus (przebijając go).

A my się miłością zbawili!

Przeł. *Marya Konopnicka.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Znowu burze. — Podrobiona legenda grecka a wytrzymałość skóry ludzkiej. — Czem ją trzeba smarować, ażeby nie pękła. — Narzekania rolników. — Siedziby letnie i minimum doznanego w nich szczęścia. — Odwiedziny złodziejów. — Stowarzyszenie kobiece pod godłem Byrona. — Niepochwytna mara. — Co to ma być? — Praktyczność nasza w Nowym świecie. — Prasa amerykańsko-polska.

I znowu burza. Ulewy, grzmoty, pioruny stały się w roku bieżącym objawami tak zwykłymi, jak ogrodowe wodotryski, turkot dorożek i trzaskanie z biczów. Rzadki

dzień, w którym przez parę godzin nie poszalejo burza i to taka, jaką historya dawniej zapisywała do swych roczników. Bardzo być może, iż natura chce tym sposobem doświadczyć wytrzymałości człowieka. Starożytny grek niewątpliwie usnułby następującą legendę. Pewnego dnia bogowie i boginie zebrali się u Zeusa na zabawę. W wesołej gawędce o ziemi, przy kieliszkach nektaru, Pozejdon, chcąc drasnąć Apollona, wtrącił uwagę, że uduszenie przez Laokona z synami zapomocą splotów wężowych było lekkomyślnem okrucieństwem, gdyż rozumny bóg powinien albo odrazu nieposłusznych ludzi zabijać, albo skazywać ich na takie walki, w których zwycięztwo nie przechodzi granicy sił człowieka. Ponieważ stąd wywiązała się ostra kłótnia i Apollon stanowczo utrzymywał, że zapasy trzech ludzi z dwoma wężami nie należą do zbyt trudnych, Zeus, chcąc brata z synem pogodzić i rozciąć spór mieczem swej mądrości, nakazawszy im milczenie, rzekł:

— Pozejdonie, nie masz racyi podwójnie: bo naprzód sam dokuczałeś ludziom strasznie, a powtóre nie każdy z bogów ma twój wściekły temperament, karzący winnych śmiercią natychmiastową. Dwa węże na trzech ludzi — to nie za wiele, a nikt z was, oprócz mnie wszechwiedzącego, nawet nie przypuszcza, ile człowiek wytrzymać zdoła. Skóra jego wydaje się pozornie bardzo wątłą, a jednakże wierzcie mi, powoli i umiejętnie można ją rozciągnąć do takiej cienkości, że obejmie całą kulę ziemską i nie pęknie. Zaraz przekonacie się o tem naocznie.

To rzekłszy, zawołał:

— Brontes! Mój cyklopie, zbiegnij na ziemię i przynieś mi tu najnieszczęśliwszego człowieka.

Za chwilę olbrzym wrócił i położył przed bogami wychudłego nędzarza, którego Zeus zapytał:

— Jak żyjesz?

— Jestem niewolnikiem — rzekł człowiek. Pan odebrał mi naprzód kobietę, którą kochałem, a potem drugą, która była moją córką, synów zaś wyprzedał. Ponieważ nie miałem sił przenosić sam belek okrętowych z lasu do morza, więc kazał mnie codziennie smagać za upór; gdy wreszcie zupełnie osłabłem, przewiązano mnie na żerdzi, a do nóg i głowy przywiązano duże kamienie. Jeżeli ciężary opuszczą się na trzy włosy, skonam.

— Cyklopy, wywierćcie dziurę wskróś ziemi, ty Argesie wsuń go w jeden jej koniec i trzymaj za głowę, a Steropes wsadzi rękę w drugi, ujmie go za nogi i przyciągnie tak, ażebyśmy zobaczyli stopy. Potem niech będzie wolny od męczarni u swego pana, zapuści czuprynę i wyciera nią sadze w kominach greckich.

Zrobiono, jak kazał wszechmocny rządca świata: przy jednym biegunie ziemi wyglądała z dziury głowa człowieka, przy drugim stopy. Kiedy go wreszcie cyklopi wydobyli i postawili w przestrzeni, miał postać tak cieniutkiej struny, że bogowie dostrzedz jej nie mogli i dopiero Apollo dla przekonania się przesunął po niej palcami, pod którymi wydała tony cichej boleści.

— Czy chcecie — zapytał Zeus — ażebym go teraz rozdął i z jego skóry zrobił koszulkę dla ziemi?

— Nie, nie — krzyknęli bogowie — już dosyć, wierzymy!

— Skurczcie go — rzekł gospodarz nieba do cyklopów — i odnieście na ziemię, gdzie ma spełniać swe przeznaczenie.

Gdy zaś olbrzymy zabrali nędzarza, zwrócił się do Pozejdona.

— Czy wiesz, kochany bracie, dlaczego ten człowiek wytrzymał taką męczarnię? Bo mu obiecałem, że będzie głową wycierał kominy. Skóra ludzka, posmarowana najmarniejszą nadzieją, jak oliwą, rozciąga się do nieskończoności i nie pęka w żadnej torturze.

Tak by tegoroczne lato objaśnili sobie grecy. Istotnie, zdaje się, jak gdyby natura chciała ludzi przekonać, że oni daleko więcej wytrzymać mogą, niż sądzą. Zeszłego roku ziemianie twierdzili, że „jeśli tak dalej pójdzie, nie wytrwamy.“ Tymczasem przybyły nowe klęski, woda zalewa łąki, grad młóci zboże na polu, kartofle gniją — i oni wytrwają. Nietylko oni! Ile razy każdy z nas powiedział: jeśli tak dłużej będzie... I każdy dźwignął swe brzemię, chociaż ciężar wzrósł—dlatego, że po tych wszystkich trudach i męczarniach błyszczała nadzieja... wycierania kominów głowami. Jest to zdumiewającem, jak mało człowiek potrzebuje dla utrzymania swego bytu, dla nakarmienia chęci życia. Minimum jego szczęścia jest cząsteczką prawie niewymierną. Deklamacya o wielu potrzebach, których zadowolenie ma być koniecznem, jest czczą gadaniną. Jak człowiek chory, zniszczony, przegniły, wewnątrz i zewnątrz pokryty ranami, tworzy często zagadkę, na czem zawisło jego życie, podobnie zadziwia nas zdrów, któremu niedola prawie wszystko odebrała, a on pomimo to żyje i żyć pragnie. Dzięki tej szczególnej wytrwałości ustroju ludzkiego istnieją nietylko jednostki, ale i całe narody. Pesymizm nie był nigdy powszechnem przekonaniem ludzi, gdyż on ich losy ocenia najwyższą miarą wymagań, podczas gdy oni przeważnie żyją najniższą. Jest to filozofia arystokracyi, wygody i zbytku, która nie wie, lub zapomina o zadowolonej nędzy.

Nie mów tedy, szanowny mój korespondencie, który w liście dowodzisz, że „jeśli tak dłużej potrwa,“ rolnicy zginą, bo łańcuch klęsk możliwych jeszcze nie przesunął swego ostatniego ogniwa, lecz ciągnie się w nieskończoność; chociażby więc zamiast rosy codzień grad padał, a zamiast zegara piorun rano do pracy was budził, jeszcze i wtedy istnieć będziecie. Wam tylko się zdaje, że tak wiele potrzebujecie. Pomyślcie tylko, coście wyobrażali sobie jako minimum szczęścia przed laty 20, 30, 40? Weźmy przykład z innej dziedziny. Anglik jest kapryśnikiem i twierdzi, że bez roast-beefu, ale'u, Izby gmin, podróży itp. przyjemności znośnie żyć nie można. Gdybym więc mu zaproponował:

— Szanowny Bullu, włóczysz się po całym świecie i wszędzie doznajesz nudy; przyjedź do nas i wynajmij sobie letnie mieszkanie około Warszawy. Zaręczam, że będziesz miał codzień deszcz z chłodem, co drugi —świeże bułki, co trzeci — złodzieja, tak wspaniałomyślnego, że mogąc wymordować twoje dzieci i żonę, ukradnie im tylko ubranie i zapasy żywności. Podczas podróży koleją doznasz niezwykłych wzruszeń: jeśli bowiem zapłacisz za bilet, to cię wrzucą do tego wagonu, w którym już miejsca niema, gdyż w innych leżą posiadacze kart jazdy bezpłatnej lub siedzą ich kucharki, niańki i psy; jeśli wysiadasz na stacyi oddalonej o 24 kilometry, to pobiorą od ciebie pieniądze za 32; jeżeli znów zażądasz biletu na 24 kilometry, to ci sprzedadzą tylko na 10; jeśli wyślesz list, wyprawią go właśnie tym pociągiem, który na twojej stacyi nie zatrzymuje się i powiozą dalej.

Mam pewne powody mniemać, że Bull odpowiedziałby mi:

— *Nonsense* — i pomimo całej swej żądzy oryginalnych wrażeń, podziękowałby za nie, wątpiąc nawet, ażeby w takich warunkach ludzie żyć mogli. A jednak my żyjemy i — co ważniejsza — bywamy zadowoleni. Kto, przykuty do taczki zarobkowej w Warszawie, nie zazdrościł szczęśliwcom, mogącym spędzić kilka miesięcy na letniem mieszkaniu — śród głodu, chłodu i złodziejów „znanych w okolicy“? Perykles mawiał, że największej warta kobieta, o której najmniej mówią: według tej reguły sądzę, że najlepszą z tych kolonij jest miłe zacisze w Ostrowie, z którego korzystam i o którem *Kuryery* nie mają nic do powiedzenia. Osobiście przeto nie zbadałem jeszcze najmniejszej ilości ludzkiego szczęścia na mieszkaniach letnich, ale z cudzych doświadczeń widzę, że jest to drobina nieważka. Ot np. z jednej osady donoszą, że tam złodzieje są gośćmi stałymi i dziwnie obłaskawionymi. W pewnym domu zjawia się dniem rabuś— kobieta krzyczy — on najspokojniej mówi: „Zaraz wychodzę moja duszko.“ Gdzieindziej włamuje się nocą—a na wrzaski odpowiada: „Leżeć cicho — tylko posprzątam i pójdę.“ Gdzieindziej znowu złodzieje, okradłszy piwnicę, rozbili z gniewem puste butelki o okienice przerażonych mieszkańców.

I cóż? W roku przyszłym —wyjedziemy na letnie mieszkania. A ty naiwny Bullu twierdzisz, że taką drobiną szczęścia wyżyć nie można?

Nawet pani Cz., wypisawszy na czele swego artykułu w *Kuryerze codziennym* zdanie Byrona: „Wiedz, czemkolwiek byłeś, że jest coś lepszego: *nie być*,“ dowodzi potrzeby... niebycia, samobójstwa? Ale gdzie tam— potrzeby stowarzyszenia, któreby mogło zakładać szwalnie dla ubogich dziewcząt, bazary dla zbytu pracy kobiet, szkoły początkowe, kasy zaliczkowe itp. instytucye. „Wiem — powiada autorka — że Poseł Prawdy ostro mnie skrytykuje. Zamiast bowiem idealnych mrzonek, powinnam dać statystyczne dane, wykazujące, jaka ilość samobójstw, na jakiej podstawie i w jakim czasie spełnioną została.“ Pani Cz. myli się w odgadnięciu strony, z której Poseł Prawdy rzuci na nią strzałę. Piętą bowiem Achillesową jej artykułu jest nie statystyka, w tym wypadku dość zbyteczna, nie sam projekt stowarzyszenia, ale podważająca go logika. Bo jeżeli ktoś, stanąwszy nad „spienionemi falami Wisły,“ które pochłonęły „ofiarę nędzy czy lekkomyślności ludzkiej,“ filozofuje z Byronem, że „*czemkolwiek* byłeś, wiedz, że jest coś *lepszego*: nie być,“ to powinien wyrozumować, że każdy, czemkolwiek jest, najlepiej zrobi, kiedy się utopi. Wniosek to nieunikniony i z żadnem stowarzyszeniem ratunkowem zszyć się nie da. Możebyśmy więc odprawili Byrona, który nam przeszkadza, i statystykę, która nas niczego nie uczy, a zostali z samem stowarzyszeniem? Wtedy sprawa się wyprostuje. Myśl sama wygląda niedojrzale, jak mgławica i dlatego zapewne inicyatorki nie zdobyły „sześciu podpisów osób zajmujących wybitniejsze stanowiska,“ potrzebnych dla zatwierdzenia ustawy. Być może, iż jedni z zaproszonych cofają się z lenistwa, ale drudzy z niewiadomości, w czem właściwie mają przyjąć udział. Stowarzyszenie, które będzie zakładało szwalnie, bazary, szkoły, kasy — co to takiego w ściślejszem określeniu społecznem i ekonomicznem, zwłaszcza gdy jego orędowniczka jednocześnie głosi, że najlepiej „nie być“? Gdyby kto ode mnie zażądał uczestnictwa w przedsięwzięciu żywienia osieroconych niemowląt pokarmem drogi mlecznej, tyle bym wiedział o mojej roli, ile przyszły członek tak nieoznaczonego stowarzyszenia. Pani Cz. nie ma obowiązku pamiętać, że nie byłem nigdy wrogiem „idealnych mrzonek,“ więc ją objaśniam, że bywałem nawet ich ojcem i że są między niemi moje własne córki. Ale jeżeli mrzonka ma zstąpić na ziemię, trzeba ją oblec w ciało, przystosowane do warunków rzeczywistych.

Gdyby jakiś olbrzym mógł nas ująć w garść, przenieść na rok do Ameryki, poddać wpływom życia tamtejszego i nazad tu powrócić, nie wierzylibyśmy własnej pamięci, przypominającej nam stan poprzedni. Co się dzieje z nami w Nowym świecie — całkiem inni ludzie: niedostępni żadnym rojeniom, praktyczni, do szpiku przesiąknięci *businessem*! Żałuję bardzo, że wam nie mogę dać do przeczytania bodaj jednego numeru jakiejkolwiek amerykańsko-polskiej gazety. Interes osobisty występuje w tej prasie całkiem obnażony i nie wstydzi się swej nagości; kanwa wywodów ogólnych naszyta reklamami, uwaga pada

ciągle na najmniejsze drobiazgi życia praktycznego. Oto biorę dla przykładu nr. 5 *Gwiazdy* (Toledo). W rubryce: „Nowiny z miasta" znajdujemy: doniesienia o sprzedażach placów, kart okrętowych, farb, blachy itp., a przytem od redakcyi: „Ob. Czarnecki, wydawca *Gwiazdy*, został współwłaścicielem zakładu krawieckiego na rogu ulic St. Clair i Jafferson, który itd." Następuje uwaga: „P. Krygierowi, co to mataczy maszynami Singera, radzimy stultum-multum na jego chorobę „swojskiego chowu" P. Krygierowi już się raz dostały pigułki w biurze maszyn „Union," a teraz mogą mu się dostać szczypce na okoślawiony język." Dziennik ogłasza, że p. Malinowski wyjedzie w niedzielę do Clevelandu, gdzie złoży wizytę swym przyjaciołom, że p. Grabowski ma również odwiedzić swych przyjaciół w New-Yorku itp. A jakie korespondencye! P. Gintowt pisze do redakcyi: „A któż Was u djabła poinformował, że w niedzielę mój ślub z panną Maryą Głosik? Co? Czy wasz korespondent, czy też Wy wstaliście do góry... nogami? A bodaj Was dunder świsnął! Ani mi się śniło brać ślub w przyszłą niedzielę, ani narzeczona moja nie nazywa się Głosik." Nb. w tymże numerze ogłoszenie: „Śluby pospiesznie i ozdobnie sprawuje sędzia pokoju John W. Enright, 103 Summit." Jeżeli poezya, to wiersz poświęcony: „nowonarodzonemu ob. M. Burczykowskiego."

Istnieje w prasie warszawskiej ohydne piśmidło, które dla swego businessu nie cofa się przed żadnym środkiem walki, używając naprzemian potwarzy i reklamy; ten jeden szpargał przypomina najgorszą stronę dziennikarstwa amerykańskiego. Ale reszta naszych wydawnictw peryodycznych, nawet *Kuryerki*, wobec gazet polskich z za Oceanu, wyglądają jak poważne i arystokratyczne *Timesy*.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zdrowotność Królestwa Polskiego. — Lekarze gminni. — Ksiądz — pogromca szlachty. — Uwagi *Rolnika i Hodowcy*. — Gospodarka spółki kutnowskiej.

Smutny obraz zdrowotności Królestwa Polskiego nakreślił dr. Villaume w *Gazecie lubelskiej*. Zwrócenie uwagi tylko na kilka szczegółów statystycznych powinno pobudzić ogół do zbiorowej pracy w kierunku przekształcenia mizernych warunków życia, o ile naturalnie będzie to zależeć od niego samego. Dzisiejsze odsetki śmierci są przerażające: 30—40% ludzi umiera z chorób takich, które powinny dawać 10—15%. A cóż się dzieje podczas epidemij?!.. Dr. V. oblicza, iż od r. 1885 do 1890 umrze w Królestwie 20,000 dzieci. Przypuszczając, że każde żyło tylko lat pięć i że utrzymanie jego kosztowało rocznie 100 rs., otrzymamy 10 milionów rubli straty materyalnej. W powyższym bowiem okresie życia żaden człowiek nie jest produkcyjnym i zaciąga dług, z którego nie może się uiścić wskutek śmierci. Przedewszystkiem należałoby zaszczepić u nas zasadnicze wiadomości z hygieny i wykładać ją we wszystkich szkołach i szkółkach. Dr. V. radzi, aby każdy familijny dom, bądź na wsi, bądź w mieście, przyjął sobie za dewizę i chociaż węglem na ubocznej ścianie zanotował, „iż wszelki wydatek poniesiony w celu sanitarnym jest oszczędnością." Dewiza piękna; szkoda tylko, że wiele już ścian ubocznych zapisaliśmy węglem, a wszystkie szybko się starły. Autor podnosi myśl, dawno już przez innych zalecaną — wprowadzenia posad lekarzów gminnych w Królestwie. „Ileż razy — powiada — ja sam podczas dziesięcioletniej swojej praktyki szpitalnej, uwzględniając jaknajbardziej konserwatywny kierunek chirurgii, zdecydować się musiałem na amputacyę nogi lub ręki tam, gdzie na początku cierpienia odpowiednia przymoczka lub opatrunek uchroniłyby chorego od kalectwa, a częstokroć i śmierci. Czyż mam przytaczać smutne wypadki, gdy kobieta rodząca pomocy potrzebuje — średniowieczne tortury, śmierć dziecka a nieraz i matki, są rezultatem braku lub nieudolnej pomocy lekarskiej." Taki stan rzeczy mógłby w części zmienić lekarz gminny. Lud nasz — utrzymuje p. V. — wysoce konserwatywny, niechętnie przyjmuje każdą nowość, zwłaszcza gdy ta sięga do jego kieszeni. Zaprowadzenie więc nowej instytucyi ratunkowej, połączone z pewną chociażby niewielką składką od każdej osoby, przyjmie z niezadowoleniem. „Przez odpowiedni wszakże wpływ duchowieństwa, przez racyonalne przemówienie inteligencyi wiejskiej, a zwłaszcza przez szlachtę, ludzkie postępowanie samych lekarzów z ludem, przy szczerych chęciach," projekt dałby się łatwo przeprowadzić. Zanim oświata dopomoże, dr. V. radzi zastosować przymus, dla dobra samego ludu. Chociaż projektodawca uchodzi w swej okolicy za „chłopomana" i uważa się za znawcę położenia włościan naszych, ośmielę się zrobić mu uwagę, że nie wszędzie „chłopek nasz ma się już wcale nieźle i nie wszędzie dobrobyt jego postępuje ku lepszemu." Trudno więc na pewno twierdzić, że wydatek poniesiony na utrzymanie w danej miejscowości stałego lekarza, nie obciąży jego budżetu.

Może poniekąd będą wskazówką szczegóły, opowiedziane przez *Gazetę radomską*. Lud w okolicach Bodzentyna — utrzymuje korespondent — jest bardziej zabobonny i ciemny niż gdzieindziej, lecz nieraz sam dąży ku lepszemu. „Było tylko umieć pozyskać jego zaufanie, trafić mu do przekonania, zjednać jego szacunek — można zrobić wiele." Mieszkańcy tamtejsi życzyli sobie mieć lekarza, gdyż musieli posyłać albo do Suchedniowa (wiorst 17), albo do Kielc (wiorst 28). Bojąc się, iż żaden może nie zechce osiąść bez zapewnienia mu jakiejś pensyi, zebrali dobrowolne składki w celu wypłacenia lekarzowi przez pierwsze trzy lata po 300 rs. Włościanie udziału w tem wziąć nie chcieli, lecz z początku wszyscy się garnęli do przybysza. Po pewnym czasie nastąpiło zniechęcenie, chłopi zupełnie przestali się leczyć, a po trzech latach doszło do tego, że pensyi nadal stanowczo odmówiono. Lekarz dla braku pacyentów i utrzymania wyprowadził się z tamtych okolic. Opuszczone miejsce, nie zrażając się odmówieniem płacy, objął inny, „człowiek zdolny, sumienny i pojmujący ważność swego powołania." Po trzech miesiącach praktyki zyskał taką sympatyę, szacunek i zaufanie, że miasto pensyę znów mu uchwaliło, a chłopi tak się garną do niego, że gminy postanowiły uchwalić dlań zasiłek stały od siebie. Teraz już prawie żaden z włościan nie udaje się do felczera lub znachora.

Słowo, hołdujące do bezmyślności *przodownikom narodu*, sprawiło niespodziankę swym czytelnikom (o ile ci nie należą do klasy duchownej), umieszczając list ks. Rostkowskiego, chłoszczący nim *jasnych*. Była to zemsta „dusz pasterza" za to, że jedna owieczka ze szlachetnej rasy odważyła stę sarknąć (w piśmie rolniczem) na księży. „Że panu B. R. (korespondentowi *Rolnika i hodowcy*) i podobnym mu obywatelom dziś ciąży jego skiba nadmiernie — pisze proboszcz parafii drwalewskiej (w Grojeckiem) — to obok ogólnie nieprzyjaznych okoliczności społecznych, prywatnie podobno bardzo przyczyniły się do tego. Ileż złego narobiła lekkomyślność w wydatkach i zbyt wielka pochopność podpisywania (?) za siebie i za innych... Bo że kto umie sprytem pokryć występek, że *podstęp* trochę lepiej brzmi niż *kradzież*, że środeczek często się udaje, to jeszcze nie przemawia na korzyść t. zw. inteligencyi." Dalej ksiądz zarzuca szlachcie, iż jest przyczyną orgij karczemnych, że młodzieży wiejskiej opieką nie otacza, że wyuzdaniu niema się co dziwić, „bo nader często we dworze wzięło początek to, co za karczmą się kończy, z tą jedynie różnicą, że pana Macieja Maciek tylko zastąpił." Przyczyną kradzieży po wsiach również są obywatele, „niewypłacający na czas pensyi i niewydający ordynaryi słudze folwarcznej." W tem wszystkiem jest dużo prawdy, ale dlaczego pasterz nie wypowiedział jej przedtem, zanim mu szlachcic za skórę poświęconą zalazł? Nawet *Rolnik i hodowca*, katolik wzorowy, wielce szanujący sutannę, wyszedłszy z cierpliwości, rzucił kilka trafnych pocisków na stróżów wiary: „Wpływ duchowieństwa na lud, w porównaniu do szlachty, zawsze był większy; suma zatem czynów w dziedzinie umoralnienia ludu przez duchowieństwo powinna być większą. Zważmy przytem, że w ostatnim ćwierćwieku ziemianie ponieśli tak straszne moralne i materyalne ciosy, a duchowieństwo względnie żadnych przeszkód nie znajdowało w swem apostolstwie, że już ten jeden fakt nakazuje znaczniejszym obciążać kosztem bilans działalności tego ostatniego. Tymczasem ostateczny rachunek wielkiemi wierzytelnościami obciążyłby polskie duchowieństwo. Płacąc pięknem za nadobne, moglibyśmy z równą, jak ks. Rostkowski namiętnością wywlekać brudy stamtąd, skąd szan. krytyk tylko perły urjańskie wydobywa... Nie zmuszajcie nas do szczegółowego rachunku i wziąwszy na wspólne brzemię wspólne winy, razem zdążajmy do odkupienia."

Kutnowskie zostało strasznie pohańbione przez „kwiat" inteligencyi miejscowej, stojącej na czele zarządu Towarzystwa zaliczkowo-wkładowego. Pomimo odmowy wszelkich wyjaśnień, p. J. Radziszewski odsłania całą tą sprawę w *Kuryerze warsz.* za pomocą źródeł pewnych. Jeszcze d. 30 lipca 1886 r. pożar zniszczył skarbiec Towarzystwa wraz z zawartością. Zarząd pozostawał w najzupełniejszej bezczynności aż do 15 sierpnia 1887 r. Trzeba było aż energicznego, chociaż spóźnionego wystąpienia rady nadzorczej, popartego groźbą wezwania policyi, aby na posiedzeniu, prawie w *trzynaście* miesięcy po wypadku, kasę otwarto i przystąpiono do sprawdzenia dowodów. Dalej znowu prośba rady nadzorczej (w październiku 1887 r.), aby zarząd raczył wezwać wszystkich dłużników do odnowienia zwęglonych weksli na 24 listopada. Nareszcie pod wielkim naciskiem dopiero na 13 grudnia r. z. przedstawiono stan interesów. Jedna rubryka zawiera przeszło 3,000 rubli, wydane na podpisy członków zarządu! Wielu członków, oburzonych nieczystością sprawy, postanowiło się wycofać i zażądało zwrotu udziałów. Rada nadzorcza odmówiła uwzględnienia tych żądań aż do wyjaśnienia sprawy przez ogólne zgromadzenie, wyznaczone na 20 maja r. b. Termin ten i kilka następnych pomimo nacisku opinii publicznej, spełzły bezowocnie. Nareszcie ogólne zgromadzenie chromając, doszło do skutku 24 czerwca r. b., na którem uchwalono: aby zarząd (?) upoważnił członka rady nadzorczej, p. Siekierskiego i członka zarządu, dr. Arnstejna, do rewindykacyi należnych Towarzystwu sum, tj. że dr. A., jako pełnomocnik Towarzystwa, będzie egzekwował dr. A., jako dyrektora i dłużnika i że członkowie na mocy plenipotencyi rejentalnej działają przeciw samym sobie! Poruszono przytem sprawę odebrania od dłużnika z Moskwy 600 rs., które, jak się okazało, były wykreślone z wykazu hypotecznego, a nie wniesione do kasy spółki. Co w tej całej sprawie przeważa — nikczemność czy niedołęstwo — wykażą dalsze dowody szczegółowe.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Spółki włościańskie. W Zbiorze ustaw i rozporządzeń ogłoszono przepisy, dotyczące spółek włościańskich, nabywających grunty ze współudziałem Banku włościańskiego. Działy bezdziedziczne gruntów spółkowych przechodzą na ich własność. Sprawy wspólników decydowane są na zebraniach, które dla pokrycia niedoborów na rzecz Banku włościańskiego, mają prawo ściągać dochód z nieruchomości będącej własnością niewypłacalnego względem Banku dłużnika, oraz sprzedawać tę część ruchomości jego, która nie jest niezbędną w całości gospodarstwa. Dla powzięcia uchwały w sprawach dotyczących zmian w kolei użytkowania i podziału nabytej zapomocą Banku ziemi, wyznaczona jest zgoda przynajmniej połowy ogólnej liczby wspólników. Uchwały zebrań w razie pogwałcenia prawa, będą uchwalane przez urzędy powiatowe do spraw włościańskich. Moc obowiązująca powyższych rozporządzeń rozciąga się także na spółki, które nabyły grunty przed wydaniem przepisów.

Gospodarstwa wiejskie. Ogłoszono rozporządzenie Rady państwa, aby upoważnić tytułem próby ministra dóbr państwowych do zaproszenia pewnej liczby osób gruntownie i specyalnie obeznanych z rozmaitemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego. Osoby te, pozostające pod zawiadywaniem departamentu rolnictwa wiejskiego, spełniać będą w miejscowościach, wskazanych przez ministra dóbr państwowych następujące czynności: 1) zbierać dane o stanie i potrzebach miejscowych większych i mniejszych własności ziemskich i dostarczać je do zarządu centralnego; 2) wskazywać gospodarzom braki w ich gospodarstwach i sposoby technicznych ulepszeń, dawać odpowiednie w tym względzie rady i urządzać odczyty publiczne celem wskazania rolnikom powodów do takich a nie innych ulepszeń w gospodarstwie; 3) dawać baczenie na szkodliwe dla gospodarstwa rolnego owady i zarządzać sposoby ich tępienia; 4) starać się, aby wszelkie zarządzenia co do ulepszeń gospodarczych były należycie pojęte i wykonane. Specyaliści tego rodzaju pobierać będą od 1,200 do 3.000 rs, płacy rocznej., Prócz tego każdy z nich otrzymywać będzie po 400 rs. na wydatki bieżące, bez obowiązku zdawania rachunku i po 400 do 600 rs. na rozjazdy z obowiązkiem zdawania rachunku.

Wice-gubernatorowie zostali włączeni do składu komisyj włościańskich w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej.

Do Uniwersytetu moskiewskiego przyjmowanie żydów wstrzymano.

„Ruskie Towarzystwo zakładów mechanicznych i górniczych“ zawiesiło wypłaty.

Departament medyczny wydał nowe przepisy, dotyczące wprowadzenia warunków sanitarnych we wszystkich większych zakładach fabrycznych. Fabryki posiadające więcej nad 30 robotników, obowiązane będą do utrzymywania doktora, felczera i podręcznych aptek na potrzeby pracowników zakładu.

Tyfus plamisty ukazał się w Nowym Dworze. Według raportu naczelnika powiatu warszawskiego, około 30 osób zapadło na tę chorobę.

Na kolei Wiedeńskiej z przyszłym nowym rokiem wydatki na etat osobowy mają być możliwie zmniejszone. Odpowiednie projekty oszczędnościowe, wypracowane we wszystkich oddziałach i wydziałach, złożone będą w drugiej połowie b. m. Sądzimy, że dotkną one przedewszystkiem synekurzystów i... literatów.

Projekt utworzenia przy Uniwersytecie warszawskim ruskiego towarzystwa lekarskiego, otrzymał Najwyższe zatwierdzenie.

W Odesie panują upały, dochodzące na słońcu do 40, a w południe do 50° R.

Do Gałaczu w tych dniach wyjechał p. Alfred Wierzbicki, mieszkaniec Warszawy, dla objęcia redakcyi czasopisma *Danube*.

Ministeryum dóbr państwa, na skutek podania Muzeum przemysłowo-rolniczego w Warszawie, udzieliło pozwolenie na urządzenie wystawy nasion i roślin gospodarskich od 23 września do 2 października r. b.

W Berlinie policya skonfiskowała 50,000 egzemplarzów odezw wyborczych stronnictwa socyalno-demokratycznego.

Z prasy. Zarząd główny do spraw prasowych udzielił redakcyi czasopisma *Gospodarz i przemysłowiec* pozwolenie na wydawanie dodatku tygodniowego p. t. *Dodatek pszczelniczy*.

— Odmówiono proszącym o pozwolenie wydawania nowego pisma w Lublinie p. t. *Kuryer lubelski*.

Ulgi. Towarzystwo kredytowe ziemskie w ustawie swej ma wskazane wypadki, w których stowarzyszonym można rozłożyć raty bieżące na dwa lata następne. Do tych należą klęski naturalne. Obecnie sypią się już prośby od ziemian dotkniętych nawalnicą i gradem.

Ustawa uniwersytetu, wydana w r. 1884, od nowego roku szkolnego zacznie obowiązywać wszystkich bez wyjątku studentów. Ci, którzy pozostają nadal w uniwersytecie, a dotąd nie ulegali nowej ustawie, obowiązani będą zdać przed 1 stycznia 1889 r. nowe egzaminy.

W Uniwersytecie warszawskim urządzona będzie pracownia patologii doświadczalnej.

Towarzystwo żeglugi parowej celem zaprowadzenia bezpośredniej komunikacyi z Australią, zakłada się w Hamburgu z kapitałem 5 milionów marek.

Plaga liszek nawiedziła południową Saksonię, zrządzając w plantacyach buraków i jarzynach dotkliwe straty.

Zmarli. Jerzy Weber, znany historyk w Heidelsbergu. Ważniejsze jego dzieła: *Historya reformacyi kościoła w W. Brytanii, Podręcznik historyi powszechnej, Historya powszechna, Historya literatury niemieckiej, Hist. ludu izraelskiego i powstania chrześciańśtwa, Hist. epoki reformacyi.*

— Stanisław hr. Rostworowski, artysta malarz, ur. 1858 r. Ukończył Akademię sztuk pięknych w Petersburgu ze złotym medalem, za obraz przedstawiający Tetysa i Achillesa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Ps. W obrazku Pańskim niema ani prawdy, ani sztuki.

P. J. Rychl. w Monachium. Szczegółowszych objaśnień co do funduszu Zienkiewicza we Florencyi mógłby Panu udzielić tylko ktoś będący na miejscu. My ich nie posiadamy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Августа 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.